ŻYCIE

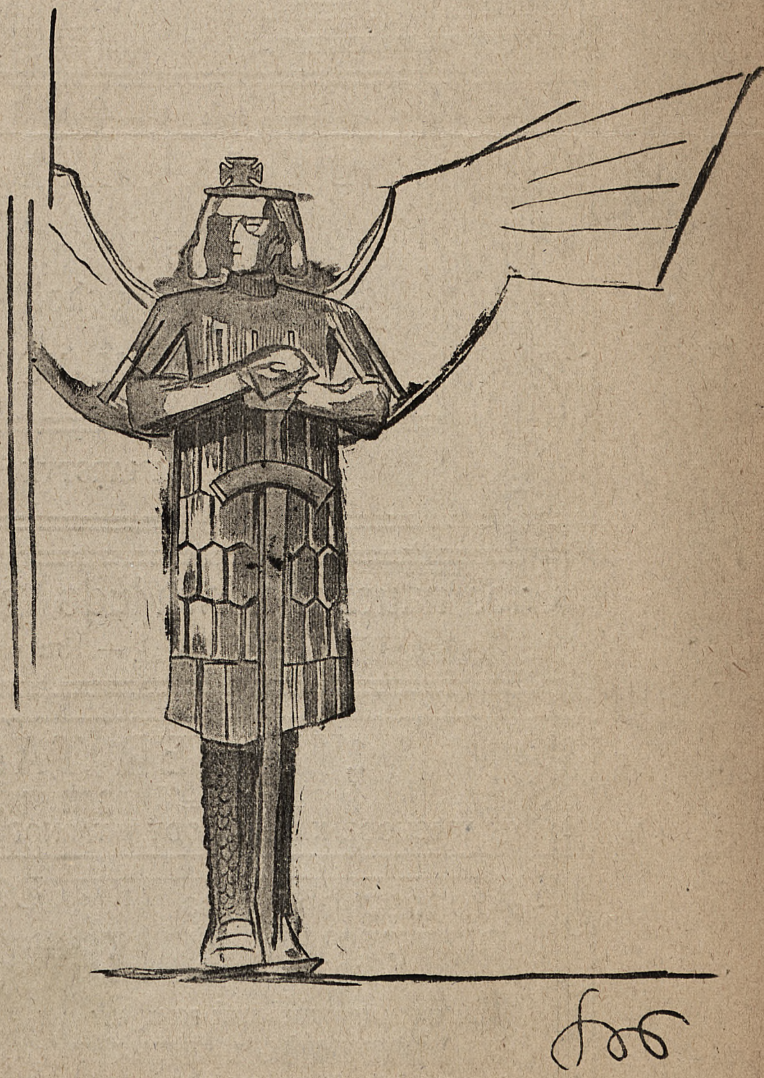
ROCZNIK II. ZESZYT IX.

DNIA 25. LUTEGO 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA:
WE LWOWIE, ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A.
ADMINISTRACYA:
UL. DĄBROWSKIEGO 2. PARTER NA PRAWO.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURYERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

M. LELIWA.

„ANTYMILITARYŚCI."



Jak ongi, przed siedmdziesięciu laty, zrodziła się na „krwawem bojowisku rzeczywistości" z tragicznych doświadczeń lat ostatnich nowa „prawda żywotna narodu polskiego". Z pośród trzasku mauzerków i huku bomb wyniosło ją skrzydło rewolucyjne polskiego socyalizmu; „Trybuna" i „Przedświt" odważnie ją wyrzekły i rozwinęły w szeregu artykułów; w obronie jej stanęły Filipowicza „Marzenia polityczne", Studnickiego „Sprawa polska", M-ckiego „Sprawa armii polskiej"; orędownikiem jej stała się „Krytyka" krakowska i „Życie" lwowskie; głosi ją „Zarzewie" białemi, odartemi przez konfiskatę kartami.. Prawda ta stara, w prostocie swojej niemal oczywista, przecież wygluzowana od lat czterdziestu kilku z politycznego myślenia Polaków, woła dziś znowu słowy Mierosławskiego „przez wszystkie rany Rzeczypospolitej", że „naród, czujący w sobie miarę i materyał do państwa" musi posiąść zdolność przeobrażania się w armię.

Zatraciliśmy w sobie „miarę i materyał do państwa". Stało się to, zapewnia nas wybitny radykalny publicysta z „Gazety wieczornej", atakujący z niebywałym szafunkiem słów mocnych i słabych dowcipów książkę o „Armii Polskiej", w ten sposób, że „nad utratą niepodległości pracowało co najmniej ośm pokoleń naszych przodków z dużą systematycznością". Pogląd ten jest na łamach gazety zaprzyjaźnionej z autorem „Dziejów Polski", drem Michałem Bobrzyńskim, zupełnie na miejscu. Szkoda, że to, co było ongi u dra Bobrzyńskiego świadomem ignorowaniem rzeczywistości dziejowej, to u rzeczonego wybitnego radykała, piszącego w „Gazecie", staje się karygodnem lekceważeniem uznanej już przez naukę prawdy. Byliśmy bowiem „materyałem do państwa w pełnem znaczeniu tego słowa za insurekcyi, za legionów, za Księstwa; byliśmy nim jeszcze mimo całe spustoszenie ideowe doby kongresowej, za Rewolucyi; usiłowaliśmy dociągnąć się do tej miary w ciągu całego okresu powstaniowego; przestaliśmy być potencyalnie państwem niepodległem, odkąd w pogromie zatracił naród zdolność, aby stać się wojskiem. Czynienie „spowiedzi z cudzych grzechów", branie

ich „odrabiania“ na zgnuśniałe w niewolnictwie barki swoje i kilku jeszcze „pokoleń następców“, jest wykręcaniem się od zajrzenia prawdzie w oczy. Przy tem „odrabianiu“ i „dorabianiu się“ doszliśmy szczęśliwie do rozplenienia Targowicy jako nowoczesnej myśli narodowej, do neosłowiańskiego zaprzańśtwa, do służby „bez zastrzeżeń“ rosyjskiej myśli państwowej. Lecz radykalny współpracownik umiarkowanej „Gazety“ uznaje niepodległość jako „zagadnienie niezmordowanej pracy rozumu i mięśni“, wytrwale prowadzonej przez „całe generacye“, z której wyniknie ona „ jako naturalny i konieczny tych wysiłków rezultat“. Jeśli „Gazeta Wieczorna“ jest reprezentantką obecnej naszej „generacyi“ to generacya owa zachowuje się wobec sprawy wyzwolenia ojczyzny jak ów rosyjski praporszczyk, któremu przy egzaminie dano do rozwiązania trudne zadanie taktyczne: daje odpowiedź nader prostą i łatwą, że w podobnie ciężkiem położeniu jedynem wyjściem będzie złożenie dowództwa w ręce swego zastępcy.

Zasadniczą cnotą wszelkiego walczącego człowieka, a szczególniej cnotą wojenną jest gotowość do wzięcia odpowiedzialności na swe barki. Pokolenie, które uchyla się od wszelkiej odpowiedzialności za sprawę wyzwolenia narodowego, skazuje sprawę tę z góry na nieobliczalne klęski. W niedawne lata burzy rewolucyjnej nikt nie dorósł do tej odpowiedzialności i każdy z siebie ją zrzucał. Narodowcy działać za siebie kazali japończykom i kadetom, socyaliści rewolucyi wszechrosyjskiej, lub żywiołowi swojskiemu; dziś postępowy publicysta składa odpowiedzialność na całych osiem generacyi... I nie będzie to paradoksem, gdy powiemy, że na dnie owej dyspozycyi psychicznej do cofania się przed odpowiedzialnością leży właśnie owo całkowite wygluzowanie z naszej świadomości narodowej myśli o wojnie.

Gdy w czasach ostatnich myśl ta wdzierać się zaczęła do świadomości polskiej, przeciwstawiła się jej nietylko ta część opinii polskiej, która „trzyma w martwości gąszcz narodu“; nietylko tych odezwały się protesty, którzy pod firmą wszechwładztwa żywiołu „świeżo zarazili politykę i ekonomię rewolucyjną nieładem i bezsilnością“. Protestowиć zaczął estetyzm przejęty wstrętem do zabijania i żądający od ludu szlachetnego męczeństwa; protestować zaczął postęp, wymawiający jednym tchem okropne wyrazy — wojsko, militaryzm, feudalizm, monarchizm, reakcya; protestować zaczęły nadewszystko napół świadome instynkty, rozwinięte w latach niezbrojnych i niesławnych — strach przed tym prochem armatnim, któremu „moc uzdrawiającą“ przypisywał ongi Maurycy Mochnacki. Jest we Lwowie pismo, którego cechą znamienną jest brak wszelkiej swoistej cechy, brak własnego ideowego oblicza. Otóż pismo to, chlubiące się bezideowością własną, organ grupki intellektualistów natknąwszy się na nowe dążenie wśród młodego społeczeństwa polskiego, naraz zaczęło „robić w polityce“ i to w polityce antypowstańczej, czy tam antymilitarnej. Zaczęło się to od bezgranicznie lekkomyślnej napaści redaktora „Widnokręgów“ na aresztowanych w Krakowie pod zarzutem studyów wojskowych młodych ludzi. Obok tego młodego adepta socyologii stosowanej stanęli niebawem esteci i literaci; sekundował im z łamów „Gazety“ tak od nich skądinąd odległy p. Konstanty Srokowski (*Que, diable, allait il faire dans cette galère?*). Wyszły na jaw rzeczy ciekawe. Jeden z tych publicystów nie odróżnia nowych prądów powstańczych od t. zw. organizacyi pieniążkowskich w parku Jordana; drugiemu na dźwięk słowa „armia“ przychodzą na myśl nie Wróblewscy, Bosaki, Dąbrowscy, nie kurtki powstańców, bluzy komunardów i garibaldczyków koszule czerwone, ale królewski majestat, łopot skrzydeł husarskich i „złoty wiek rycerstwa“; trzeciemu nic na myśl nie przychodzi, jeno browning wystrzelony w r. 1905. Jest to objaw niebywały w społeczeństwach nowożytnych. Istnieją wszędzie wrogowie militaryzmu, przeciwstawiający mu w swoich dążeniach powszechną zbrojnię ludową; nigdzie niema apostołów bezbronności społeczeństwa i jego nieudolności bojowej. Jedyny p. Karol Irzykowski, myśliciel kapryśny i fantasta, dowiedział się, oczywiście od p. Stanisława Brzozowskiego, że czasy, które jego, p, Irzykowskiego wydały, cierpią na brak „perspektyw historycznych“. „Byłem do niedawna — wyznaje prostodusznie p. Irzykowski — takim barbarzyńcą, że nie miałem żadnych zmartwień kulturalnych i mówiłem: niech sobie kultura i historya same dają rady, my róbmy sumiennie to, co ze względów merytorycznych uważamy za stosowne!... Robić historyę? Ale czyż historya nie robi się sama?“ Wdzięczni jesteśmy p. Irzykowskiemu za to cenne zwierzenie. Istotnie, społeczeństwa obecne, wychowane w czasach niehistorycznych, w szarzyźnie wegetacyi niewolniczej lub konstytucyjnego kramarstwa, znające historyę z tanich wulgaryzacyi, nastrojonych na t a m - t a m tandetnego patryotyzmu, zatracić zdążyły zupełnie niemal w niehistorycznych czasach związek z czasami historycznemi, zapominały jak r o b i się historyę i jak robi się państwo. Najgruntowniej o tem zapomniał naród polski. I oto w chwili, gdy odradzające go dążenie wskrzesza przerwaną tradycyę dziejową, stwarzając typowy przykład nowego renesansu, znakomicie przez Kazimierza Krauza zaobserwowanej r e t r o s p e k c y i p r z e w r o t o w e j, hyperkulturalni „barbarzyńcy“ nie troszczący się o historyę i przekazujący robienie jej swoim praprawnukom, podnoszą wrzawę urągliwą przeciw „złotym wiekom rycerstwa“.

— — — — — — — — — — —

W recenzyi swojej z wielkiego dzieła W. Studnickiego pisze w „Widnokręgach“ p. Leon Biegeleisen: „...Budowa państwa własnego przez wojsko własne jest budową, pochłaniającą wszystkie siły, jeśli nie ma być jeszcze jednem zmarnowaniem i upustem sił narodowych, budową, wymagającą lat całych wytężonej pracy“. Jest to jedyny bodaj rozsądny zarzut, jaki uczyniono propagatorom wojskowości polskiej. Za tę szczyptę rozumnej myśli gotowiśmy wybaczyć p. Biegeleisenowi jego niefortunne występy. Istotnie, jedynie słuszną miarą w ocenianiu tego prądu, zmierzającego do zwrócenia pewnej ilości energii społecznej w nowym kierunku, jest celowość tego wysiłku i jego stosunek do całokształtu pracy społecznej. Otóż traktowanie „budowy państwa przez wojsko własne“ jako pracy pochłaniającej „wszyst-

kie siły“ jest rzeczą błędną. Zwrócenie wszystkich sił w jednym kierunku nastąpić może i winno w jednym momencie i na jeden moment. Znamy te momenty: 1794, 1812, 1831. 1863. W owych to chwilach wszystko, cokolwiek nieobecne jest na polu bitwy, cofa wstecz przyszłość narodu. Lecz znamy okresy całe „budowy państwa przez wojsko własne“, okresy przygotowawcze, w których bujnie na wszystkich polach rozwija się praca twórcza. Legioniści są wolnomularzami, oddanymi sprawie oświecenia i wolności włościan; Księstwo Warszawskie, wielki obóz wojskowy, ma swoją Izbę edukacyjną; wielka Emigracya ma legion pism, instytucyi naukowych i oświatowych, olbrzymią i potężną literaturę, wybujałe życie polityczne, choć cała ta „republika polska we Francyi“ myśli o wojnie i przygotowuje wojnę. Nikt nie śmie deprecyonować pracy u podstaw. O co innego idzie: że chorą jest ta praca u podstaw, jak cała praca twórcza narodu, zanikła bowiem jedna gałąź tej pracy, gałąź naturalna i konieczna — obrona społeczeństwa przed wrogiem zewnętrznym. Z zanikiem tej niezbędnej funkcyi społecznej zamarły związane z nią cechy charakteru i świadomości narodowej. Ażeby kiedykolwiek móc przystąpić do budowy państwa jedyną drogą, jaką możliwa jest ta budowa — przez wojsko własne — trzeba przez „lata całe wytężonej pracy“ odbudować zmarniałe komórki mózgu i rdzenia w społeczeństwie naszem, cały odpowiednik psychiczny czynności fizycznej, jaką jest bój; ta restauracya zaś nie jest możliwą bez jednoczesnego wskrzeszenia samej owej funkcyi, bez wysiłków ku stworzeniu tą, lub inną drogą, podziemną, czy jawną, legalną, czy spiskową — surogatu wojska.

G. DANIŁOWSKI.

MARYA MAGDALENA.

(FRAGMENTY POWIEŚCI APOKRYFICZNEJ). 4)

Zbliżała się i zadrżała do głębi; poznała wielką czaszkę i szerokie bary w łatanej, grubej, spłowiałej od słońca wielbłądziej opończy: był to Judasz z Kerjot, którego nie widziała od czasu, jak ją tajemnie opuścił.

Łazarz dostrzegłszy Maryę uśmiechnął się życzliwie, obejmując zachwyconym wzrokiem wdzięczną jej postać. Obejrzał się też Judasz, podniósł się i pozdrowił słowami:

— Wiekuisty z tobą!

— Niech cię Wiekuisty błogosławi — odparła według zwyczaju Marya głosem zacichłym z niepokoju.

— Siadaj — zapraszała siostrę Marta — Judasz ciekawe nowiny przynosi.

Marya przysiadła posłusznie, zasłaniając długiemi rzęsami przejrzystość oczu. Dopiero, gdy Judasz zaczął mówić, obrzuciła go szybkiem, ukradkowem spojrzeniem.

Nie zmienił się wiele: była to ta sama spalona od słońca i zawiei ruchliwa, mocna twarz, o głębokich, nieokreślonej barwy oczach, patrzących przebiegle i nieco zuchwale z pod krzaczastych brwi; duży, haczykowaty nos nadawał jej wyraz drapieżny, wydatne o zmysłowych wargach szczęki, capia broda, wystające guzy na czole i zwichrzone nad nim w rogi rude włosy czyniły go podobnym do satyra, wrażenie to potęgowały w grubych sandałach, jak w kopytach, stopy włochate i tak zapylone, że nie znać było rzemieni.

— Z nad cichego jeziora Gennezar — ciągnął — podnosi się nowa światłość, dziś tylko jakoby jasnej zorzy rozpostarcie, ale jutro może ogień, miedziana chmura, grom i wstrząśnienie ziemi.

— Podobno niezwykły prorok objawił się w naszych stronach — syn, pamiętasz, Józefa cieśli i ślicznej Maryi córki Anny i Joachima, nazarejczyk imieniem Jezus — objaśniał Maryę Łazarz.

— Duchy gniewliwe i czarty wymiata — dodała znacząco i z westchnieniem Marta.

— Czy nie jak Baaras — przypomniało się Maryi — a gdy Judasz zaświadczył, iż sam widział, jak z domu uzdrowionej opętanej wybiegł szatan w postaci urodziwego młodzieńca, który się zakradł do niej, gdy szła po wodę, płocha wesołość zagrała w jej oczach na myśl o tem, ile tego rodzaju opętań doznała na kwietnych łąkach w pobliżu Magdali.

— Uzdrawia lunatyki, trędowate i powietrzem ruszone — zapalał się Judasz — niewiasta od lat wielu na płynienie cierpiąca stała się zdrową od mocy, która zeń wyszła gdy się dotknęła podołku szaty jego — przypowieściami myśli swe wykłada, ubogi lud zbiera, naucza i wodą chrzci...

— Jak Jan — zaczął Szymon.

— Jan! — przerwał Judasz — co Jan? — narzekać i wciąż jeno strofować potrafił, klęski wróżyć — jakby nie dosyć i aż nadto zaznał ich

lud izraelski, płaszczby ostatni z grzbietu zdarł, w zgrzebny wór odział, na puszczę w cierniowy szałas zapędził i szarańczę naczczo łykać kazał! Jezus wodę w wino na radość weselników w Kanie Galilejskiej przemienił, grzechy odpuszcza, trosk nie mnoży — choć nie ze spokojem ale z mieczem i sądem, jak powiedział — przybył na ziemię — w panowanie ją obiecuje oddać nie tym, co wiążą brzemiona ciężkie i nieznośne na karki nasze, a sami palcem nie ruszą, ale właśnie pokrzywdzonym, prześladowanym — nam, którymi pomiata i kapłan i zimno uśmiechnięty Saduceusz i lada legionista, jak psa, nogą potrąca!...

— Unosisz się, nadto się unosisz Judaszu — wtrącił surowo Szymon. — O! — podniósł w górę rękę i siwą brodę — i ciągnął głosem rwącym się ze wzruszenia — nie wzbudza nam już dawno wielkich proroków wiekuisty — ale jawią się za to co raz liczniej szalbierze, co tumult czynią a wzruszają pospólstwo, oszuści i wichrzyciele — rozmnożyła się nieprawość, jak kąkol po ziemi naszej; skąd wiesz, że jest tym sprawiedliwym, za którego się wydaje? — zali jest mało takich, którychby należało przy dźwięku kozich rogów i kapania czarnych gromnic w kadzie krwi przekląć i z pośrodka ludu na wieki wytrącić?,..

— Cuda czyni — odburknął Judasz.

— Ale czyją mocą — Pana? czy księcia dyabelskiego?

Judasz popadł w posępną zadumę — w głowie jego kształtowała się mętna myśl, że obojętne jest czyją mocą, aby swego dopiąć — a Szymon ciągnął tymczasem:

— Wątpliwem mi się wydaje to wszystko; rozbieraj pismo, a obaczysz, że z Galilei prorok nie powstaje, znasz gadkę: Możeż z Nazaretu być co dobrego!

Judasz się ocknął, zamyślił się i nagle zacytował z patosem:

— I ty Betlehemie ziemio Judzka żadną miarą nie jesteś najmniejsza między książęty Judyjskimi, albowiem z ciebie wynijdzie wódz, który rządzić będzie mój lud Izraelski! — i właśnie w Betlehem, dokąd udał się Józef, by być popisan według bezbożnego dekretu Caesara — wypełniły się dni Maryi, aby porodziła tego syna... Z Betlehem tego pochodzi Jezus — i wiedzcie jeszcze, dodał tajemniczo, potrząsając nerwowo ramieniem, — z domu Dawidowego, jakeśmy wyliczyli i doszli — jest On.

Ostatnie słowa wywarły silne wrażenie: Łazarz wsparł się na łokciu, jakby usiłując się dźwignąć, a twarz jego stała się śmiertelnie blada, Szymon zastygł, jak stał, z podniesioną do góry głową i zdawał się wpatrywać spłowiałemi oczyma w dalekie niebieskie widziadło, Marta niespokojnym wzrokiem biegała po twarzach mężów, szukając prawdy.

Najmniej była wzruszoną Marya, odbiegła bowiem już zbyt daleko od wierzeń, tęsknot i nadziei swego otoczenia, by módz zrozumieć uczucia, które w nim wzniecały przyniesione wieści, nie ufała przy tem Judaszowi, pomna jak plótł jej na poczekaniu zmyślone powieści, któremi zawrócił jej głowę, aż się podała w moc jego. — Miała go teraz za nieprzebierającego w środkach kłamcę i podejrzywała podstęp.

Oceniała go słusznie, ale tylko po części.

Judasz był z natury przewrotny, zmyślał ale nie zawsze świadomie, dając się często unosić wartkiej imaginacyi i burzliwemu temperamentowi, który go łatwo przerzucał z jednej ostateczności w drugą — wybujała jego fantazya mimowiednie przejaskrawiała rzeczywistość na korzyść tego, co sam pragnął w niej widzieć lub innym pokazać.

Niepospolicie zdolny, pomimo braku wykształcenia, posiadał spory zasób pochwytanych tu i ówdzie wiadomości, przenikliwą inteligencyę i wiele życiowego doświadczenia, które mu pozwalało nieźle się oryentować w zawiłych sprawach tego skołatanego, rozdzieranego rozterką, rozpadającego się wewnątrz, a zduszonego żelazną obręczą Rzymian świata, jakim była Judea w te czasy.

Na tym jakby ustawicznie wstrząsanym i pałającym gruncie Judasz od wczesnej młodości zakładał gmach ambitnych marzeń wyniesienia się za wszelką cenę, choćby wypadło przebrnąć przez krew i błoto, ale brak wytrwałości w planach, jak gdyby furya pośpiechu, która go gnała z miejsca na miejsce — obracały w niwecz zręcznie pomyślane zabiegi; płynęły lata, a Judasz pozostawał nadal takim samym bezdomnym włóczęgą, jakim się urodził.

Czas pewien nosił białą szatę, chustkę do podpasywania się i toporek Essejczyków, którzy wiedli komunalny żywot, ale nie wytrzymał próby surowego zakonu, usuwającego z życia rozkosz, jako złe. Potem uparł się zostać biegłym w piśmie, lecz ani sucha scholastyka, ani mglisty mistycyzm nie mogły się zgodzić z jego żywym, realnie usposobionym umysłem. Przebywając następnie na usługach kapłanów Saduceuszy nasiąknął ich wyziębłym epikureizmem i w głębi duszy jął wątpić w świętość przepisów twardego rytuału.

W drobnych emeutach, zamieszkach i tumultach ulicznych czuł się dopiero w swoim żywiole, umiał się jednak zawsze w czas cofnąć, gdy sprawa przybierała niepomyślny obrót. I tak, kiedy przystał do Jana Chrzciciela, skoro prorok został uwięziony, wyparł się go haniebnie, chociaż za czasów jego powodzenia uchodził za żarliwego zwolennika, nie będąc jednak wyznawcą, bo ciągłe nawoływania do kajania się, ascetyczny sposób życia, stale strofujący ton pustelnika, był z gruntu sprzeczny z jego zmysłową, rozjątrzoną niepowodzeniami, pełną gwałtownych pożądań naturą.

Zetknięcie się z Chrystusem wywarło na Judaszu niezwykle silne wrażenie.

Ujmująca postać ślicznego młodzieńca, który nie stroni od wina, kwiatów, kobiet, wesela, a jednocześnie skupia naokoło siebie lud prosty, twierdząc, że pierwsi będą ostatni, a ostatni pierwszymi, mało dba o rytuał, odrzuca długie nabożeństwa i posty, wytrąca między ludźmi a Wiekuistym pośrednictwo obłudnego kapłaństwa i w przypowieściach mętnych jeszcze zapowiada jakby odwrócenie istniejącego porządku — porwała Judasza odrazu.

Słuchając ciekawie rabiego odczuwał całą piersią świeżość i nowość nie spotykanej przed tem nauki. Wiedział, że jest to niewątpliwie mąż Boży, ale całkiem odmienny od dawnych proro-

ków, pozornie niby wierny, a właściwie odszczepieniec od zakonu, burzący stare, sięgający po nowe — dziwnie wyrozumiały dla słabych, poniżonych, upadłych i jawnie grzesznych, surowy dla możnych i cnotliwych faryzeuszy.

To stanowisko mistrza zachwycało go, lecz jednocześnie napełniało obawą niebezpiecznych następstw, to też pomimo, iż w duchu stał się jego gorącym wyznawcą, ukrywał właściwy stan swych uczuć, zachowując pozory obojętnego widza.

Skoro jednak Jezus zaczął napomykać o zbliżającem się rychło Królestwie, o uczestnictwie w tem królestwie uczniów swoich, i jego pomimo złej sławy nietylko powołał do grona najbliższych, ale wyróżnił, obdarzając jedyną istniejącą godnością skarbnika — Judasz, pojmując to królestwo całkowicie po ziemsku, dał się unieść od razu w krąg wyniosłych rojeń, o takich dostojeństwach, o jakich przed tem nie śmiał marzyć, a które mu się wydały zupełnie możliwie, blizkie, chwilami pewne. (C. d. n.)

MEMORYAŁ O STANIE MUZEUM RAPPERSWILSKIEGO w r. 1895.

(Dokończenie.)

III.

Panowie, wiem na podstawie faktów, że wszystko, co jest w Waszej mocy robicie, że nie żałujecie ani starań, ani grosza, aby tę świątynię naszych narodowych pamiątek na stopie godnej celu, jaki ona ma przed sobą, postawić, i dlatego nie Was, nie Zarząd o wyżej wymienione herezye winię. Przyjeżdżając corocznie z różnych krańców świata celem uregulowania spraw rachunkowych i nie mogąc dużo poświęcić czasu, nie możecie dużo wglądać w szczegóły. Wiem i to także, że o człowieka, któryby umiejętnie zadanie kustosza spełniał, wcale nie jest łatwo; ale ten, który jest dzisiaj, mojem zdaniem jest najgorszym z najgorszych. Nie jego to wina, że powołany został do zajęcia stanowiska, na które nie ma najmniejszych kwalifikacyi, i które z tego powodu z największą dla muzeum szkodą zajmuje. Pana kustosza obecnego wcale nie znam, nigdy go nie widziałem i przeciwko jego osobie po za muzeum stojącej, nic nigdy nie miałem i nie mam. Oceniam tylko jego wartość w stosunku do muzeum, na podstawie tego, com widyiał i z owoców poznaję go, jak mówi Pismo. Daleki jestem od tej myśli, abym Sz. Zarząd chciał posądzać o to, iż mógłby poświęcić instytucyę dla prywatnej osoby, to jest względy publiczne dla prywatnych. Ot, nie było innego po stracie takich ludzi, jak Duchiński lub Goller, musieliście wziąć takiego, jaki był pod ręką. Nie było niestety innego podówczas. Raz go powoławszy i dawszy mu miejsce trudno z nim zrywać, trudno mu powiedzieć „idź sobie"; rozumiem to dobrze, ale ostatecznie taki stan rzeczy nie może Was usprawiedliwić wobec narodu, którego zbiorów jesteście opiekunami, O osobie dzisiejszego p. Kustosza starałem się zasięgnąć, o ile się da dokładnych wiadomości. Jednogłośnie mi powiedziano że jestto człowiek. nie posiadający żadnych absolutnie kwalifikacyi naukowych. Nie trzeba go znać osobiście, aby się o tem przekonać. Nadto powiedziano mi, że poprzednio był w Monachium i tam handlował starożytnościami. Okoliczność ta pogarsza położenie, gdyż doświadczenie przekonało, iż ludzie podobni bardzo są niebezpieczni dla wszelkich muzeów. Uważając bowiem rzeczy, do zakresu archeologii należące, za przedmiot handlu, zatracają wszelkie poczucie ich historycznej wartości i oceniają je wedle pieniężnej skali, a znajdując się pod wpływem nawykowych pobudek, gotowi są fabrykować starożytności, jeśli ku temu odpowiedni znajdą materyał. Cieszą się oni w duchu, że tym sposobem niejednemu archeologowi z profesyi mogą zabić klina nielada. A czynią to zupełnie w ten sposób, jak ongi bracia szlachta, która farbując koniom ogony i grzywy, nie uważała bynajmniej za złe, gdy w ten sposób bodaj najbliższego sąsiada dało się podejść. Był to usus przez wszystkich tolerowany. To samo jest i między minorum gentium handlarzami. Faktem jest, że podobni artyści potrafią rękojeść jednej szabli z klingą drugiej połączyć, że w nowe łoże stare lufy osadzają lub odwrotnie; iż na obstalowanych nowych ryngrafach stare cyzelują napisy, że potrafią zarówno daty, jak i ornamentacyę na odpowiednim przedmiocie stosownie do potrzeby zmienić itp., jednem słowem, że mając w sobie silnie rozwiniętą żyłkę handlarsko-kompilatorską i chęć wytworzenia łamigłówek, mogą niejeden przedmiot zepsuć i dziwolągów napłodzić. Tacy zwykle posiadają całe laboratorya i zaopatrzeni są w ogrom najrozmaitszych narzędzi, za pomocą których licznemi falsyfikatami świat obdarzają. Tacy, powtarzam są dla muzeów najniebezpieczniejsi, zwłaszcza gdy im się wszelką swobodę działania zostawi.

Po tem wszystkiem, com w Rapperswilskiem muzeum widział, już niczemu się nie dziwię, dlatego to wcalem się nie zdziwił, gdy mi w Krakowie powiedziano, że podobno obecny p. kustosz, czytając listy Kraszewskiego, uważał za właściwe w listach tych nazwiska współczesnych; tj. dziś żyjących osób sumiennie powykreślać, dbając o to, aby ktoś nazwisk tych nie odcyfrował. Że sobie atramentu nie żałował, aby to zadanie z powodzeniem spełnić, nie

wątpię ani na chwilę. Pod względem czystości muzeum przedstawia bardzo wiele do życzenia. Kurzem i brudem możnaby parę kantonów obdzielić. Dziur w ścianach bez liku, tak jakby nie było gipsu na świecie i nie istniała możność zaciągnięcia ściany na kolor właściwy. Słowem, że nie widać tu nigdzie nietylko znajomości rzeczy, lecz ani śladu tej miłości przedmiotu, tej staranności około zbiorów, jaką bez wyjątku we wszystkich muzeach widzimy.

Cel muzeum Rapperswilskiego jest tak wzniosły i wszelką racyę bytu mający, a miłość sprawy szczególniej w ziemiach pod zaborem rosyjskim będących tak gorąca, że niezadługo nie pomieścilibyście naszych darów w dwa razy tak wielkim jak obecny gmachu. Dary te jednak nie będą napływać tak, jakby napływać powinny, co będzie miało miejsce dopóty, dopóki na czele instytucyi nie postawicie człowieka, chociażby nie uczonego, lecz nie wyzutego z elementarnych kwalifikacyi dla zajęcia tego zaszczytnego miejsca, człowieka, któryby był opiekunem, a nie niszczycielem cennych pamiątek.

Do memoryału dra H. Dobrzyckiego, którego druk tu kończymy, pragniemy dodać jeszcze słów kilka. Dr. H. Dobrzycki wyraził przed laty piętnastu swoją wiarę w dobrą wolę radców na Rapperswilu. My o niej i dziś powątpiewać nie mamy powodu, co najwyżej, moglibyśmy się zapytać, co się z taką wiarą w dobrą wolę i intencye staje, gdy rzeczywistość czynów z niej niemiłosiernie przez lat piętnaście drwi. Jeżeli już w jakiej, to w publicznej sprawie dobremi chęciami istotnie całe piekło polskie możnaby wybrukować. Cóż znaczy najczystsza intencya wobec nagromadzenia ciemnoty, niezdarności, niechlujstwa i głupstwa? Czemże, jeżeli nie zbrodnią publiczną jest wykręcanie się „poczciwością“ osobistą od obowiązku, od kontroli, od odpowiedzialności? Pod pokrywką takiej, jak rapperswilska, dobrej woli, lęgnąć się może i żyć bezpiecznie najgorszy czyn. Sprawa Rapperswilu może być dobrą nauką dla Polski.

I to jedno czas powiedzieć wyraźnie: stan Muzeum rapperswilskiego jest nikczemną potwarzą na naród polski przed obliczem Europy, jest stałą, od lat trwającą kompromitacyą dla naszej kultury, dla naszej wiedzy, dla naszego życia. Ci Francuzi, z którymi trzeba się ostrożnie przez sale muzealne przemykać, aby zbyt wyraźnie nie widzieli; ci Szwajcarzy, ze zdziwieniem od czasu do czasu się dowiadujący, że są Polacy, których charakter i życie składa się z czego innego, nie zaś jak tu, z niechlujstwa, gburowatości i głupoty; ten Niemiec, dekorujący Muzeum „w stylu starogermańskim“ w dobie, gdy Polska bojkotuje towary niemieckie, a jej artyści umierają z głodu; i ten Prusak wreszcie, który stamtąd, z Rapperswilu, z tryumfem powrócił, istotnej śmierci Polski do syta się napatrzywszy... Komu rumieniec wstydu nie pali twarzy, kto w Polsce spokojnie ten skandal zniesie, życzymy gustu: niech myje własne swe ręce. Winszujemy też rapperswilskiej Radzie. Ona uśpieniem w swej własnej dobrej wierze doprowadziła się sama do nieuczciwości. Któż teraz piętno zmyje i zagładzi?

Bo i to jasno powiedzieć warto: chwycenie się nagłe projektu przeniesienia rapperswilskiej biblioteki do Lwowa jest nietylko złym z gruntu pomysłem, nielogicznością śmieszną, niezastanowieniem się istotnem nad sprawą, czynem pozornym, nową właściwie blagą; nie, gdyż jest w tem jeszcze okazya do wykręcenia się od odpowiedzialności, jest zdecydowanie się bankruta, jest v a b a n q u e szulera, który już rzeczywiście nie wie wcale, co sumienie czynom odpowie. I nietylko o formę się już niedba wcale; ale gotowo się rzucić i zarzucić lub rozprószyć cały bezcenny spadek emigracyjny, byle prędzej. Mamy wrażenie, że specyalnie już teraz w całej tej sprawie śpieszno.

Na ludzi marnotrawnych są jednak chyba środki, nawet wtedy, jeśli o tę, najmniej u nas poważaną chodzi własność: o narodową. Jeżeli ci synowie ojczyzny przy swojem długiem w Szwajcaryi i Francyi zamieszkaniu nie popatrzyli jeszcze dosyć na kultury tamtejszej obyczaj i nie nauczyli się prawa, tedy im kraj ich własny prawo przypomni. Nad własnością narodową przez nich zarządzaną trzeba będzie ustanowić n a r o d o w ą k u r a t e l ę.

I innym instytucyom emigracyjnym warto będzie przyjrzeć się nieco.

SOŁTYS.

ORGANIZACYA INTELIGENCYI.

Jest pewien wysoce rozwinięty dział nauki. mało uwzględniany poza kołem zawodowych swych wyznawców, i dlatego prawie nieznany. Nagromadzone tam skarby wiedzy doświadczalnej stosowane bywają wprawdzie w ciasnych granicach swej wyłącznej instytucyi, lecz w zastosowaniu do potrzeb ogólno ludzkich stale są pomijane.

Mowa tu o wiedzy militarnej.

Nauka taktyki wojskowej zawiera podstawowe prawdy, wypróbowane w tysiącletnim rozwoju sztuki wojennej i bezustannie pogłębiane ćwiczeniami. To też doniosłość taktyki w zakresie akcyi wojennej uznawana jest powszechnie; natomiast nie ujawniła się zgoła świadomość, że wartość użytkowa prawd nauką taktyki objętych z niemniejszym skutkiem zastosowaną być może do zadań ogólnospołecznych.

Dzisiejsza socyologia niewątpliwie potrzebuje dodatku nauk doświadczalnych wojskowej taktyki i dopiero ich dodatek wytworzyć zdolny ową bujną fermentacyę życia, jakiej myśląca i twórcza część ludzkości w interesie postępu i kultury z upragnieniem wygląda.

Wszystkie dzisiejsze usiłowania społeczno-reformacyjne porównane być mogą do pojedynczych grup powstańczych, a wojna jaką prowadzi dzisiejsza postępowość z wstecznictwem i ignorancyą

ma wszystkie znamiona wojny partyzanckiej. Jak uczy historya wojny, nie można wojny partyzanckiej bynajmniej lekceważyć. Jest ona przewlekła, przeciwnika ogromnie wyczerpuje i częstokroć dotkliwiej go trafia niż tzw. wielka wojna, z jej szybkim, druzgocącym przebiegiem. W nowoczesnej sztuce wojennej ma partyzantka tak wielkie zachowanie, że ten drugorzędny sposób wojowania obok głównej akcyi jest niezmiernie pożądany i że żadna strona wojująca obywaćby się bez niego w żaden sposób nie chciała.

Ale sama w sobie jest partyzantka niedostateczną. Rozstrzygających skutków osiągnąć nią nie można a zorganizowanemu przeciwnikowi uda się zawsze wkońcu zgnieść partyzantów.

Do osiągnięcia rozstrzygającego zwycięstwa końcowego niezbędne jest planowe działanie mas, jakiem rozporządzać może tylko armia zorganizowana.

Te same zasady obowiązują w walce społecznej w obronie kultury i postępu.

Potrzebujemy wielkiego, jednolitego ujęcia tegoczesnych głównych prądów postępowych. Obok tego pozostaje jeszcze wiele pracy dla partyzantów, którzy w ciasnym zakresie potrzeb miejscowych walczyć mogą skutecznie na własną rękę. Tylko że praca ich i zabiegi nie powinny rozbijać się na odosobnione utarczki i nie powinny ginąć bez echa na pustem odludziu.

Do walnych, rozstrzygających bitew potrzebujemy organizacyi międzynarodowej, obejmującej inteligencyę całego świata.

Wpływ wywierany na postęp w każdej dziedzinie życia ludzkiego przez inteligencyę już obecnie jest bardzo znaczny. Jedynie sposób i stopień tego oddziaływania wydaje się być niedostatecznym.

Dotychczasowe oddziaływanie inteligencyi na sprawy kultury i postępu jest raczej przygodne; zastąpione ono być winno świadomem celu uchwyceniem we własne ręce planowo zorganizowanego kierownictwa, by nad drogami rozwoju zapanować niepodzielnie.

Inteligencya stoi na drabinie społecznej zaledwie na szczeblu średnim, podczas gdy najwyższe stanowiska zajmuje kapitalizm.

Decydujące to stanowisko kapitalizmowi się nie należy, a dalsze pozostawianie go na tem naczelnem miejscu sprzeciwia się interesom całej ludzkości.

Spostrzeżenie to w właściwy sposób uczynić może jedynie inteligencya, posiada ona bowiem najwięcej przymiotów ku temu niezbędnych.

Jej godność osobista, oraz poczucie ciążącej na niej misyi ogólnoludzkiej wymaga, by zadanie to sobie uświadomiła i do spełniania go się przygotowała.

Tym celem potrzeba jej zdobyć oną najwyższą w społeczeństwie pozycyę.

Wola jej skoncentrować się winna naprzód w tem, by wyzwolić się z zależności od kapitalizmu, bo zależność ta głównie stoi na przeszkodzie objęcia przez nią naczelnego stanowiska w narodzie i na świecie.

Jak się do tego zabrać, powiedziano jest w ogólnych zarysach w książce „Organizacya inteligencyi“*) nader znamiennej dla tegoczesnych usiłowań postępowych, a nieobojętnych i dla naszych zadań organizacyjnych.

Z nowym rokiem przystąpiono w Pradze do realizacyi zamysłów autora. Otwarte tamże pod jego kierunkiem biuro jest zacziątkiem centrali międzynarodowej; z czasem otwierane być mają wszędzie biura zastępcze.

Przekład dziełka na wszystkie języki, a więc i na język polski, jest w przygotowaniu. (Dokumente des Fortschritts, zeszyt styczniowy).

---

*) Die Organisierung der Intelligenz, napisał kapitan Wiktor Hueber w Pradze. Wydanie 3. Nakładem J. A. Bartha w Lipsku. Cena 3 mk. 60 f.



Dr. JUDYM.

SINE IRA ET STUDIO.

Z POWODU „MOJEJ PANI“ KS. ZIMMERMANA.

Książka w rodzaju kalendarzy Steinbrennera, Senników egipskich, Proroctw królowej Saby i innych Historyi o siedmiu zbójcach i siedmiu młynareczkach, jakie sprzedają różni okpiświatowie po straganach jarmarcznych i kramach odpustowych. Rzecz nie byłaby zgoła godną uwagi, gdyby autorem jej nie był profesor wszechnicy Jagiellońskiej i gdyby nie rozgłos niesławny, jaki w czasie niedługim zdobyła na obu półkulach, wywołując śmiech niepowstrzymany, na całe gardło, do rozpuku...

U nas w Polsce ogromna liczba ludzi wzięła książkę na seryo i chce się utrzymać przy zdaniu, że to naprawdę „przyczynek do psychologii“ jakiejkolwiek, słowem, że książka zasługuje na jakąkolwiek uwagę. I w tem tkwi nowa, ogromna vis comica. Podział, jaki dokonał się w naszem społeczeństwie w osądzaniu ramoty sprowadzonego z Wielkopolski uminarza, mógłby dać jakiemuś nowemu Erazmowi z Rotterdamu nieoceniony materyał do nowego rozdziału „Pochwały głupstwa“, który powinien zostać napisany, wydrukowany i rozdawany przechodniom na ulicy. Skutek byłby niezmiernie pożyteczny a wręcz odmienny od działania cebuli, o której ks. Zimmermann (Tektander) pisze, jak nastepuje: „Po cebuli doznaję zgagi i przypominań się do następnego dnia. Jestem wtedy smutny i $33^1/_3$% niezdolny do pracy“. Po przeczytaniu bowiem nowego rozdziału „Pochwały głupstwa“ czytelnicy byliby weseli — i posługując się „nieporównaną polszczyzną“ Tektandra — $33^1/_3$% zdolniejsi do pracy, gdyż wesołość czyni człowieka — jak wiadomo — zdrowym i do pracy zdolniejszym.

Nieboszczyk Morsztyn napisał w wieku siedmnastym „Historyę ucieszną o zacnej królewnie Banialuce“. Książka tak była wesoła, że nazwisko pięknej „Banialuki“ stało się od dawna synonimem

„głupstwa“. Był więc pożytek, bo język polski wzbogacił się o nowy wyraz, a co najmniej o nowy odcień znanego już pojęcia. Wolno prorokować, że „Moja Pani“ czy „Moja Baba“ Tektandra (drugi tytuł bardziej się podobał ks. Zimmermannowi, a cofnął go dopiero na życzenie specyalnego „jury“) zdobędzie wawrzyny Banialuki i jako, że żyjemy w wieku demokracyi, zostanie z nią równouprawnioną. Szczęśliwi Polacy będą tedy bardzo bogaci w głupstwo, bo głupstwo już nie tylko głupstwem i banialuką będą nazywali, ale dla odmiany będą używać w takich wypadkach także wyrazu „mojapani“ albo „mojababa“.

Sprawa samej książki nie ma tedy nic w sobie tragicznego. Przez chwilę przychodziło mi nawet na myśl, że prof. Tektander chciał sobie zakpić z polskiej publiczności, a specyalnie z Poznania, któremu książkę swoją „na pamiątkę“ poświęcił. Tak jednak nie jest. Ks. Zimmermann jest człowiekiem poważnym i wrażliwym i skłonnym raczej do smutku niż do wesołości, jak to sam o sobie pisze: „Mam takie usposobienie, że gdy deszcz pada, jestem smutny i przynajmniej 66²/₃% niezdolny do pracy. Najchętniej leżałbym takiego dnia, jak to robi pies, skulony w kącie kanapy i spał“. Ponieważ zaś w naszym klimacie mamy częste opady, a ksiądz profesor jest wtedy smutny i „przynajmniej 66²/₃% niezdolny do pracy“, ponieważ dalej „Moja Pani“ gotowała z cebulą, choć ksiądz prosił ją i błagał „ze łzami“, aby tego nie czyniła, gdyż wówczas był także „smutny i 33¹/₃% niezdolny do pracy“, stąd prosty wniosek, że — posługując się metodą procentową Tektandra — ksiądz profesor przynajmniej przez 90% dni w roku był smutny i niezdolny do pracy i miał ochotę spać, jak to robi pies, skulony w kącie kanapy (porównanie ks. Tektandra). Wobec tylu dni smutku i niezdolności do pracy trzeba przypuszczać, że „Moja Pani“ nie była w założeniu humoreską, ale że to rzecz, zrodzona w pocie czoła, w ciężkich dniach smutku i niezdolności do pracy, że więc nie wolno przypuszczać tutaj chęci zakpienia sobie z Poznania i z polskiej publiczności czytającej. Suum cuique!

Zachodzi pytanie, czy „Moja Pani“ jest przyczynkiem do psychologii księżych gospodyń, jak ks. profesor napisał w tytule, a czemu sprzeciwiłem się zaraz na początku niniejszego rozważania (seria Tectandrica tectandrikos tractanda), czy też jest to raczej ustęp z „socyologii chrześcijańskiej“, jak chcą tego wielbiciele „Mojej Pani“. Lubo wola autora obowiązuje, mimo to, ponieważ nie ulegam wpływowi deszczu ani działaniu cebuli, przez cały rok zatem jestem zrównoważony i mam sąd jasny o rzeczach, pozwolę sobie zauważyć, że „Moja Pani“ nie ma nic wspólnego z psychologią księżych gospodyń, ale jest po prostu pamiętnikiem nieciekawych do niedawna i źle po polsku opisanych przygód ks. profesora. Wystarczy przypomnieć dwa szczegóły: jeden, opisujący całowanie na ulicy, drugi, jak „Moja Pani“ kładzie się na spoczynek.

Całowanie na ulicy podaję w skróceniu, ale dosłownie: „...Dzieciak uliczny ma albo nos nieutarty albo krosty otwarte na ustach, albo jadł cukierki lub chleb z tłuszczem albo owoc. Skoro zaś ofiara ulicy (ks. Zimmermann) widzi, że na nią szarańcza (dzieci) wypada z sieni lub z za węgła domu, to nic nie pomoże, że przyspieszy kroku“... Podrwiwa dalej Tektander z zachowania się w takich wypadkach ludzi starszych i kmiotków, poczem tak rzecz kończy: „...Z tych objawów pietyzmu (całowania) trzeba się cieszyć i pielęgnować je i trzeba je znosić z ascetycznych pobudek. Ale niemniej przeto cierpi się za każdym razem“. Owóż „mądrej głowie dość dwie słowie“. Komentarz zbyteczny.

Drugi szczegół podaje ks. Zimmermann nie bez dreszczów poetyckich: „...Dom kładzie się na spoczynek. I ona (Moja Pani) nań się gotuje, samotna zupełnie: nie ma otoczenia, żadnej duszy blizkiej, żadnego uścisku na dobranoc, jaki bywa szczęściem codziennem tylu serc kobiecych (co za intuicya!). Otwiera okno, wychyla się... wychylona w oknie siedzi i patrzy w ciemnię — zamyka okno, zasuwa zasłony, idzie do swej sypialni, klęka do modlitwy i ziewając w odstępach modli się długo. Po czasie otwierają się drzwi do jadalni, wysuwa się ręka, stawia na stoliku przy drzwiach lampkę nocną i cofa. Niezadługo ostatni objaw jej życia milknie. Przychodzi sen. Wszystko bez słów, cicho, samotnie, dla siebie. Jutro znowu dzień“. W jaki sposób Tektander wybadał te wszystkie szczegóły, odgadnąć trudno. Złośliwy mógłby pomyśleć, że patrzył na wszystko zbliska, bezstronny musi powiedzieć, że to nudna bajka, opowiedziana stylem pamiętników czternastoletniego sztubaka.

Może jednak słuszność mają ci, co widzą w „Mojej Pani“ objawy geniuszu socyologicznego. Przeczy temu sam autor, który w swojej książce pisze wyraźnie, że sprawy społeczne zostały mu narzucone, że w gruncie rzeczy nie ma do nich powołania. „...W gimnazyum zajmowała mnie najwięcej literatura, na uniwersytecie historya kościoła, w seminaryum o pracy społecznej nikt nie wspominał — po wyświęceniu pragnąłem za resztę ojcowizny iść znów na uniwersytet — nie na co innego, lecz na historyę sztuki. Odmówiono mi tego, ponieważ sobie zbyteczny przedmiot obrałem (mam to zapisane w pamiętniku, prowadzonym przez cały ciąg seminaryum). Konieczności pracy społecznej nauczyło mnie życie“...

Tektander pisze to wszystko tak dobrodusznie, że aż budzi nasze współczucie i żal do tej siły niedobrej, która zrobiła z niego „socyologa chrześcijańskiego“. Pozostał bowiem na dnie serca „poczciwym“ indywidualistą, rozmiłowanym w przejażdżkach z Rózią (Moją Panią) do pinakotek monachijskich, którego sprawy społeczne męczą, w które nie wierzy. „... I tem uczuciem wiemy, że prawda jest w nas i po naszej stronie, a nie po stronie przemożnego gminu, i że jej nie potrzebujemy się wstydzić, że to nie jest egzaltacya ni ekscentryczność, że uśmiechy i dyskretne podejrzenia o pozę, to marny wyraz motłochu, który nie ma w sobie żywota ani prawdy, — że to tem w świecie ducha, czem pył i kał w przyrodzie...“ Nie ma co mówić! Piękne zdania w ustach „chrześcijanina“ i profesora socyologii chrześcijańskiej! Tektander nie lubi nawet mówić o sprawach społecznych: „Słuchając bezustannie o sprawach ogółu, nabiera się skłonności do indywidualizmu, upiera się przy prawach jednostki, nabywa uczucia antispołecznego“. Biedna ofiara posłuszeństwa! Za to męczeństwo w roli profesora socyologii na oścież zaiste otworzą się wrota rajskie przed ks. Tektandrem.

Co najciekawsze, Tektander nie jest wielbicielem starych prawd, ni starych bogów. Uznaje, że ludzkość idzie po coraz lepszych drogach: „Ludzkość nigdy tak daleko jeszcze nie była, jak za naszych czasów, i tylko ta, co przyjdzie, przewyższy ją w prawdzie, pięknie, dobru i szczęściu“. Jak pogodzić takie powiedzenie z faktem, że do tego szczęścia prowadzą „żywioły postępowe“, którym wypowiedzieli walkę obrońcy dzisiejsi księdza Tektandra. I to jest charakterystyczne, że Tektander nie czuje się dobrze w swojej skórze, zdaje się nie wyjawiać zadowolenia z powodu obranego zawodu: „Ksiądz mile tylko dotyka jednolite wyznaniowo a kościelnie usposobione społeczeństwo, zwłaszcza chłopów i małomieszczan w tych parafiach, gdzie duchowieństwo ze zrozumieniem potrzeb ludu i poświęceniem pracuje równie nad jego religijnością, jak nad oświatą i dobrobytem. Trudno mi nie wie-

dzieć, że na ogół w świecie dzisiejszym duchowny to synonim wstecznictwa duchowego, ciasnoty umysłowej, czynnik pragnący ujarzmienia rozumu ludzkiego zapomocą kajdan średniowiecznego a skostniałego dogmatyzmu, to reprezentant nieszczerości, zatajający własne pojęcia i słabości, działający wbrew swoim przekonaniom. Na jednostki zaś zachowujące kontakt ze swoją religią działa jak wyrzut sumienia lub krępuje swobodę".

W 10% dni roku ks. Tektander zdaje się odzyskiwać spokój i wesołość. Może i one spędzone były w smutku, może nawet w smutku opisane zostały starania, jak „Moją Panią" wydać za mąż, może w smutku zacytowano owe listy zgłaszających się oblubieńców, może w smutku opowiedziano przygody „Synka" to jest pieska ks. Tektandra. Na czytelnika działają wszakże jak łaskotanie w pięty lub pod pachę — i stąd mylne może owo przypuszczenie o dniach wesołości, uzasadnione jednak snem Faraona o krowach tłustych i chudych i powiedzeniem Sokratesa, gdy Ksantypa wylewała na niego pomyje z cebrzyka, że po deszczu następuje pogoda. Mniejsza zresztą o smutek i wesołość. Nie piszemy przecież przyczynku do psychologii ks. Tektandra, lecz tylko sprawozdanie z jego nieoszacowanego dla socyologii chrześcijańskiej arcydzieła.

Nie przypominamy skłonności Synka do rozpusty i niepoznawania pana swojego na ulicy, ale tylko zacytujemy dowcip ks. Tektandra, opisany w „Mojej Pani", a wpisany do formularza magistratu poznańskiego, w rubryce: besondere Bemerkungen: „Ein sehr guter Hund, der beide Landessprachen versteht". Co prawda — trudno nam powiedzieć, z czego tu zakpił ks. Tektander: z języka niemieckiego, czy z polskiego, z Synka, czy z siebie. W każdym razie urzędnik, który to przeczytał, musiał sobie pomyśleć, że autor jest przygotowanym do objęcia socyologii chrześcijańskiej na wydziale teologicznym.

Dalecy jesteśmy od wyczerpania materyału dyskusyjnego, jaki nastręcza „Moja Pani". Lecz dość „in magnis voluisse". Ksiądz Tektander i tak niemało się nacierpiał w dziesięcioletniej symbiozie z „Moją Babą". Oto, co sam pisze: „Była ona dla mnie tem, co dla morza ostry, twardy, skalisty brzeg. Dom mój nie był przystanią, do którejbym dążył, obiecując sobie spokój i ukojenie i do którejbym był zawijał jak do portu pewnego". Przypuszczać można, że Tektander już się z nią rozstał. Stąd może pochodzi, że książka, choć pisana w smutku, ale w przeczuciu wyzwolenia, jakie nastąpi, działa wprost zaraźliwie na organy niepowstrzymanego śmiechu i w następstwie stanie się własnością tego działu literatury, który jedni nazwą „perły humoru wszechnicy Jagiellońskiej", drudzy zaś „głupstwo nad głupstwami czyli arcygłupie arcybzdury". Jako dzieło profesora uniwersytetu w w. XX-tym będzie to unikat nad unikaty i przez długie wieki głosić będzie mądrość senatu, który taką znakomitość pisarską powołał na katedrę. Jesteśmy zaiste najoświeceńszym narodem na świecie.

M. BELL.

DWA UNIWERSYTETY.

W tym samym czasie, gdy miarodajne i wpływowe sfery krakowskie wytężyły wszystkie siły, by narzucić młodzieży uniwersytetu Jagiellońskiego autorytet naukowy ks. Zimmermanna, w Warszawie, w kołach im duchowo pokrewnych wszczęto cichą dotąd agitacyę za powrotem gremialnym do uniwersytetu i politechniki warszawskiej.

W tych obu uczelniach wytworzył się stan rzeczy całkiem osobliwy i stanowiący dla wszystkich stron interesowanych trudną do rozwikłania łamigłówkę.

Młodzież polska dotąd konsekwentnie od nich stroni, — nie łamie bowiem reguły, raczej ją potwierdza jakaś setka słuchaczy polskich na uniwersytecie i tyleż w politechnice. Rekrutują się oni bądźto ze sfer urzędniczych, bądźto z rodzin polskich w Rosyi zamieszkałych, bądź wreszcie z jednostek o wątpliwej przynależności narodowej. Napływ żydów mógłby być bardzo wielki, lecz stoją mu dotąd na przeszkodzie ograniczenia procentowe. Mówię — dotąd, gdyż nie jest wykluczone, że antysemicki kurs biurokratycznego rządu dozna pewnej modyfikacyi, mianowicie antysemickim pozostanie dla rdzennej Rosyi, zaś stanie się filosemickim dla krajów kresowych. Są już dziś pewne objawy świadczące, że powoływanie się posła Niselowicza na lojalność litwaków nie było głosem na puszczy wołającym. Poseł mniejszości rosyjskiej, p. Aleksiejew, obiecał wyjednać prawo wyboru własnego posła z Warszawy dla mniejszości żydowskiej oraz postarać się o liczebne zwiększenie reprezentacyi żydowskiej w samorządzie miejskim. Równocześnie żydzi finlandzcy we właściwą porę zanieśli, gdzie należy, skargę na ucisk Finlandczyków i znaleźli posłuch u centralnego rządu, który wniesie do Dumy projekt skasowania dotyczących ich w tym kraju ograniczeń. Można więc przypuszczać, że uznawszy litwaków jako użyteczny element rusyfikacyjny rząd posługiwać się nimi będzie jako narzędziem do „objedinienja" kresów, w dalszem następstwie zaś da im w tychże krainach kresowych równouprawnienie z ich „istimo-ruskimi" opiekunami świeżej daty, a prześladowcami z doby wczorajszej. Tymczasem jednak o skasowaniu procentów w warszawskich rządowych uczelniach mowy niema. Ponieważ tedy Polacy iść do nich nie chcą, a Żydzi nie mogą, zarówno uniwersytet, jak i politechnika zapełniły się żywiołem importowanym z całego obszaru Rosyi a niedopuszczanym do żadnego innego wyższego zakładu naukowego. Olbrzymią większość stanowią seminarzyści o 4-ro lub co najwyżej 6-cio klasowem wykształceniu, zwabieni łatwością osiągnięcia dyplomów bez mozołu, wysiłku i kosztu, nie studenci, lecz statyści, pełniący dosłownie statystyczne funkcye. Poziom umysłowy tej młodzieży — jak wyznają w momentach szczerości sami profesorowie — jest rozpaczliwie niski, poziom ciała profesorskiego również nie sięga wysoko, tem bardziej, że nigdy (zwłaszcza w uniwersytecie) imponującym niebył, a po wyrugowaniu „opolaczonych" lub zbyt liberalnych profesorów jeszcze się obniżył. Skutkiem tego wszystkiego — uniwersytet warszawski jest w tej samej mierze wszechnicą w europejskim znaczeniu, co Duma petersburska europejskim parlamentem

Niewymownie głupią jest w danych warunkach rola tych Polaków profesorów, którzy przyjęli lub zatrzymali dawniej zajmowane katedry. Jest ich zaledwie kilku; instynkt karyerowiczowski trzyma ich przy zdyskredytowanych i izolowanych w społeczeństwie instytucyach, nadzieja ustania bojkotu łagodzi drażliwą sytuacyę, a tolerancya sfer rządowych skrajnie prawego i skrajnie lewego skrzydła słodzi życie. Im dłużej jednak obecny stan rzeczy trwa, tem bardziej wyczerpuje się cierpliwość sfer interesowanych oraz ugodowców różnych obozów.

To też krążą wieści, że niebawem — (podobno z inicyatywy Koła polskiego) wszczęta zostanie wielka akcya celem uroczystego odwołania bojkotu. Realiści i prawica narodowej demokracyi już się porozumieli; chodzi tylko o wciągnięcie w tę grę jeszcze kogoś trzeciego — z lewicy, aby można stworzyć fikcyę, że „cały naród się rozmyślił“, i cały naród cofnął z zajmowanego dotąd uporczywie stanowiska.

Jako jaskółka zapowiadająca tę ugodową wiosnę zjawiła się na bruku warszawskim bezimienna odezwa „Do Polskiej Młodzieży Wyższych Zakładów Naukowych“ — istne curiosum dotąd niewidziane i przez żadnego proroka niezapowiedziane, coś niby nielegalszczyzna ugodowa! Znamienny ten dokument XX-go wieku, mdły w tonie, słaby w argumentacyi, nielogiczny i niekonsekwentny w najwyższym stopniu, mieści dość wymowne zeznania. Nie mogąc wbrew rzeczywistości rehabilitować wartości naukowej obu warszawskich wyższych uczelni, ani też wysławiać mądrości ich profesorów, ugodowa odezwa wyjaśnia, iż nie ciała profesorskie lecz aspiracye młodzieży, opinia koleżeńska, decydują o duchowej atmosferze i poziomie umysłowym wszechnic i akademii. Jest to zatem — wbrew wszelkim tradycyom sfer ugodowych, jakoby upoważnianie i rozgrzeszanie na przyszłość wszystkich zbiorowych działań i wystąpień, w których opinia koleżeńska młodzieży przeciwstawiać się może kierunkowi nauczającego ciała; jest nawet wyraźna zupełnie wzmianka o „starciach“ — niezbędnych dla pełności i równowagi w życiu zbiorowem“ (!!) Wzmianka ta w tym wypadku zdumiewająco lekkomyślna, jeśli uwzględnimy moment, w którym „niezbędne stanie“ przerwało normalny bieg życia akademickiego w Krakowie“ oraz warunki warszawskiego środowiska, w którym zawsze nietyle niezbędne ile nieuchronne „starcia“ z władzą uniwersytecką przybierały i przybierać muszą obrót tragiczny. Okazuje się, że niema u nas partyi, która dla osiągnięcia quand meme swych celów nieuciekałaby się do demagogicznych środków. Dla znęcenia młodzieży w progi biurokratycznej mordowni dusz obiecuje się jej, że ona tam będzie grała decydującą rolę i zdobędzie pole do bohaterskich wystąpień, które z tejże samej strony we wszelkich wypadkach będą gromione i piętnowane!!

Odezwa zawiera jeszcze i inny ciekawy ustęp: Oto dowiadujemy się z niej, że choćby kraj posiadał miliony potrzebne dla kształcenia swej młodzieży za granicą, „nie podobna liczyć, aby one znalazły się w rękach ludzi skłonnych do ofiar na cele wyższej kultury naukowej. Wszak u nas do nauki nie rwą się najbogatsi, najzamożniejsi — niestety!“ To „niestety“ — jest klasyczne; przypomina ono ubolewanie referenta komisyi szkolnej, hr. Tarnowskiego który w Sejmie lwowskim pięć lat temu mówił: „Niestety — młodzież uboga ciśnie się do gimnazyów!“ Nasze sfery zamożne — nietylko jak stwierdza odezwa, i same uczyć się nie chcą i drugim do osiągnięcia wykształcenia nie pomagają, lecz — jak wiemy wszyscy — okazują dziwną pochopność, gdy chodzi o ułatwienie rządowi pruskiemu objęcia spadku po komisyi edukacyjnej. Z tego jednak wynika, że o ile w swojem łonie nie przeprowadzą odpowiedniej sanacyi, w sprawach edukacyi narodowej nie powinnyby wcale zabierać głosu.

Jeżeli istotnie po odezwie bezimiennej zjawi się zapowiadana z podpisami firm politycznych, będzie to miało następstwa, których inicyatorowie w swej naiwności wcale nie przewidują lub w swej lekkomyślności nie biorą w rachubę. Wśród młodzieży polskich szkół średnich, która zgodnie z marzeniami rozważnej starszyzny przestała politykować, — skutkiem tego właśnie stronnictwa polityczne ani wpływu ani powagi nie posiadają bynajmniej. Podpisanie odezwy antibojkotowej pogrąży ich autorytet do reszty i będzie wyrokiem, jaki każde z nich napisze samo na siebie. Jedyną wytyczną polityki młodzieży jest miłość dla szkoły polskiej ściśle związana z miłością ojczyzny, tego jednak polityką nazywać nie można, gdyż do tego zmierza wychowanie publiczne u każdego narodu bez wyjątku. Odezwa stronnictw nie będzie zatem ciosem wymierzonym przeciw temu lub owemu programowi, lecz uderzającym w samo serce młodzieży, w jądro kwestyi polskiej w jej najskromniejszem, najpowściągliwszem sformułowaniu.

Mniej niż szkół własnych żaden naród żądać nie może, gdzie z tego rezygnuje, tam niema mowy o jakimkolwiek programie narodowym. — Uroczyste odwołanie bojkotu oburzy niewątpliwie nawet tych, którym bojkot stał się bardzo uciążliwym i którzy tęsknią za powrotem do dawnego stanu rzeczy. Tkwi w tem pewnego rodzaju niekonsekwencya, może dość głęboko sięgająca, ale jest rzeczą wielokrotnie stwierdzoną, że ogół ulegający w zwykłych okolicznościach życia w 90 wypadkach na sto wyłącznie egoistycznym, a nie ideowym motywom, nie lubi, gdy mu tę jego prywatną słabostkę podnosić do godności programu narodowego. Czuje, że go to poniża i wstydzi się tego. Odwołanie bojkotu jeśli nastąpi, będzie uroczystem rozgrzeszeniem filisterstwa i wszystkich prywatnych egoizmów. Wywoła oburzenie młodzieży, może nawet licznych kół dorosłego społeczeństwa, ale te odruchy uczuciowe mogą pozostać bezsilne wobec wszechmocy kieszeniowego strajku, który otrzyma publiczną sankcyę. Wychowanie młodzieży w szkole prywatnej, kształcenie jej w zagranicznych uniwersytetach jest kosztowne; zwolnienie społeczeństwa od ofiar materyalnych — zniszczy owoce wszystkich jego dotychczasowych wysiłków; szkoły polskie upadną lub stracą swój obecny charakter. Znowu nastąpi tragiczny rozłam między starymi a młodymi, znowu dzieci staną przeciw ojcom z ciężkiem oskarżeniem i nastąpią „niezbędne starcia“ — przewidywane przez ugodowych autorów odezwy. Krakowskie represye przeciw broniącym godności nauki studentów, podszczuwanie przeciw królewiakom wnoszącym wolnomyślne fermenty do sklerykalizowanej wszechnicy, tak dalece idą na rękę tej agitacyi, że trudno wierzyć w czysto przypadkową równoległość. Pozbyć się burzliwych żywiołów z polskiego uniwersytetu, wciągnąć je do warszawskiego, oddać pod ścisłą opiekę biurokracyi wyćwiczonej w uśmierzaniu rozruchów — jest to zapewnić sobie spokój na dwóch frontach i zapobiec zarazem, by zalew nowoczesnych prądów umysłowych nie zmył czcigodnej pleśni z powierzchni polskiej kultury.

Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

WALKA O SZTANDAR.

Piękny, s t a r o ż y t n y sztandar Lwowa, narażony na śniegi, wichry i deszcze ostatnich dni, zmaga się ze złowrogim naporem sił przemożnych, które go szarpią na wszystkie strony. Nie chorąży o krzepkiej dłoni i czystem sercu, nie rycerz bez zmazy i lęku, który życie w obronie idei kładzie w ofierze, nie cichy a prawy obywatel, co *salutem civitatis* ponad własne szczęście i mienie przenosi, — nie ci wszyscy godni być obrońcami tego sztandaru w dzisiejszej dobie!

Inne nastały czasy, inne dzisiaj głoszone są hasła.

Jeszcze tak niedawno zdało się wszystkim, że wybory mają dać miastu swój własny rząd, najlepszych, najgodniejszych. Jeszcze nie zginęło echo tych pięknych przemów, co to przynosiły i reformę administracyi i rozwój przedmieść i ulgę w ciężarach, i tanie mieszkania i poprawę stosunków komunikacyjnych i możność znośnego życia i zarobku, a już usta, co te hasła głosiły, rzucają kamieniem potępienia na własnych współbraci, którzy chcą pamiętać jedynie o rzeczywistych zadaniach miasta a nie o partyjnych interesach i porachunkach osobistych!

Nie czas na to wszystko, co stanowi treść i ducha samorządnej gospodarki miejskiej, bo oto przed bramami miasta zbiera się straszliwa nawała: „Radykalno-masońska horda, zszeregowana razem ze socyalistami i rusinami w olbrzymią falangę, idzie na zdobycie miasta. Zdawkowemi hasłami liberalizmu i miłości postępu, chce ta masa wichrzycielska oszołomić niewinny naród i wprowadzić do rady miejskiej jak najwięcej żywiołów rozkładu, które dążą do zatraty polskiego charakteru miasta Lwowa. Do broni więc, do broni! Stwórzmy blok narodowy, precz z masonami! Kto do nich zbliży się, przeklęty, kto spojrzy na nich, niech oślepnie na wieki, kto poda dłoń, niech zginie na miejscu!“

Takie hasła bratniej miłości głosi blok narodowy, założony obecnie we Lwowie pod patronatem patentowanych obrońców polskości, zagrożonej niezwykle na terenie lwowskim przez obóz antinarodowy.

Ponieważ do obrony skutecznej potrzebne są naturalnie środki materyalne, a groza położenia jest niezwykłą i niebezpieczeństwo zalewu ze strony żywiołów antinarodowych jest przemożne, a więc niemasz ofiary, którejby nie należało ponieść dla dobra zagrożonej ojczyzny. Kto tej ofiary ponieść nie może, w tych ciężkich a dla sprawy narodowej niezwykle poważnych czasach) niech ustąpi miejsca silniejszemu, który s k u t e c z n i e j może pomódz ojczyźnie.

A więc Ty czcigodny dostojniku, coś dziesiątki lat słowem i czynem prowadził szeregi mieszczańskie ku twojemu światłu, wyciągnij z kalety sowity grosz na obronę zagrożonej na ratuszu polskości, albo też ustąp z krzesła radzieckiego, które łacno zajmie c e n n i e j s z y kandydat.

Ty zaś kochany bracie, który ćwierć wieku twój przezacny cech zastępowałeś na ratuszu i całemu przedmieściu przewodziłeś przez ten czas, dość już masz laurów. Niech dzieci i wnuki złożą taksę na obronę miasta przeciw bezbożnym radykałom-masonom, albo znajdziemy następcę, który bez wahania złoży ofiarę na ołtarzu zagrożonej polskości miasta.

Ty wreszcie obywatelu wyznania mojżeszowego pamiętaj, że zaliczenie do obozu narodowego jest właściwie zaszczytem w tej chwili wprost bezcennym i dla tego jedynie wyjątkowo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczasz zdobycie tego zaszczytu za p o d w ó j n ą t a k s ę, którą składaj co prędzej, bo patrz, ilu twoich spółbraci spieszy na wyścigi, aby dać w i ę c e j na skuteczną obronę polskości miasta.

Wy inni! Ach serce nam kraje się! Prawda, steraliście siły, czas, zdrowie — ale cóż! Nie należycie do bloku narodowego, nie ma dla was miejsca. Ustąpcie! Ustąpcie! Idą nowi, prawdziwi Polacy!

Tak jest, idą n o w i. A raczej, oni j u ż w e s z l i! Jeszcze wyborów nie przeprowadzono, a już w salach ratusza rozgospodarowali się nowi panowie, którzy z zadowoleniem podkreślają konsolidacyę wszystkich stronnictw narodowych w obecnej akcyi wyborczej do Rady miejskiej i wzywają do bezwzględnego zwalczania listy komitetu Reformy i wszystkich innych komitetów, które stoją z nim w łączności, gdyż z tej strony zagraża niebezpieczeństwo narodowe!

Po raz pierwszy u boku polskiego prezydenta stolicy kraju stanęli urzędowi stróże i inkwizytorowie polskości, którzy z wolą i aprobatą przywódców mieszczaństwa lwowskiego mają ich prowadzić jako doradcy i obrońcy zagrożonego sztandaru narodowego, tu u kresów rzeczypospolitej. Setki lat minęły — Turcy, Tatarzy, Kozacy, Szwedzi napadali na ten gród i mieszczanie sami sobie dawali rady. Ale wszystko to nic w obec grozy chwili obecnej, kiedy radni reformatorzy w towarzystwie socyalistów i syonistów idą na zdobycia ratusza. Siły mieszczaństwa nie podołają temu naporowi i tylko stronnictwo narodowo-demokratyczne zaprawione już do walki z żywiołami antynarodowymi zdoła obronić skutecznie zagrożoną polskość Lwowa.

Nuże więc do walki! Chwytajcie za sztandar zagrożony! Kto da więcej! . . . .

— — — — — — — — — — —

Do tego więc doszliśmy w ubieganiu się o godność radziecką Lwowa, że mandat ten bądź to jest przedmiotem targu niemal jawnego, bądź też wyznaczany jest z góry dla tych, którzy

mając w swem ręku cały szereg pism codziennych, mogą najskuteczniej i najgłośniej mianować obrońców polskości i zdrajców narodu.

I oto cały szereg przedstawicieli nauki polskiej, prowadzących młodzież na wyżyny najszczytniejsze, mających nieraz za sobą dziesiątki lat najpiękniejszej pracy naukowej, nie widzi w swem zaślepieniu partyjnem całej ohydy tej walki i jej skutków na przyszłość.

Jeszcze tak niedawno temu składał naród polski hołdy prochom bohatera z pod Cecory, co z niezłomnym hartem w duszy dla obrony czci narodowej życie swe poniósł w ofierze. Posiwiały profesor najwyższej lwowskiej uczelni z buzdyganem w ręku na czele sokolstwa wskazywał na trumnę hetmana jako ideał dla narodu.

Dzisiaj ten sam przewodnik młodzieży organizuje i prowadzi swe hufce ku ratuszowi i woła: ci, którzy nie z nami, nie są obrońcami narodowych ideałów, precz z nimi, potrzeba im pokazać w dniu wyborów, jak daleko odpadli od zdrowego pnia narodowego!

Zdrowy pień narodowy, to nie długoletnia praca obywatelska, to nie zasługi naukowe lub publiczne, — bynajmniej! Wystarczy być znanym „księciem karnawału“ i przynależnym do stronnictwa narodowo-demokratycznego. Wystarczy nawet współudział w kryminalnych szantażach, głośnych w całym kraju, — to nie plami godności narodowej, byle się przysięgło na wierność nowym hetmanom polskości w pojęciu endeckiem

I to wszystko nazywa się walką o sztandar narodowy?!

Do czego więc dojdzie, jeżeli ci zacietrzewieni obrońcy zagrożonego mieszczaństwa polskiego i skonsolidowanego obozu narodowego, swoich tak „zasłużonych“ obywateli wprowadzą do Rady miasta? Jaką wartość będzie miała ta godność radziecka, okupioma drogiemi ofiarami i zawarowana przynależnością do t. z. bloku narodowego?!

Czy praca obywatelska w tych warunkach może istnieć na seryo i może wydać zdrowe dla narodu owoce?

Nie! Przenigdy! Zaślepienie i zacietrzewienie partyjne próżnych, ambitnych jednostek sprowadziło chwilowo zdrowe instynkty obywatelstwa tego pięknego grodu na manowce. Może za dni parę zwyciężą te zgoła nieszlachetne sobkowskie ambicyjki. Ale im gorzej chwilowo, tem lepiej w niedługiej przyszłości. Bo oto świta już zaranie nowej ery. Odpychana, deptana, wzgardzana wola nie kasty, nie synhedrionu patentowanych przez siebie samych wybrańców obozu narodowego, ale wola istotna całego ludu, nie da sobie wiecznie narzucać własnego przedstawicielstwa!

Przed bramami ratusza stoi już cierpliwie ale w pełnej zbroi nowy hufiec przemożny zapoznanych, odsuniętych, zdeptanych i wzgardzonych w tej walce: To reforma wyborcza puka u podwoi konsularnych! To naród sam upomni się o swoje prawa. Wtedy pójdziemy w bój o sztandar!

NEGO.

Z POD PIÓRA.

Jedną z przyczyn braku odpowiedniej reakcyi uczuć i czynów wobec zbrodni i okrucieństw odbywających się poza polem bezpośredniego spostrzegania jest słaby stopień wyobraźni ogółu.

Gdy na ulicy katują przeładowanego ciężarem konia, świadkowie niewątpliwie pospieszą z interwencyą, bo słyszą świst bata i widzą nadmierny wysiłek zdyszanego zwierzęcia, ale gdy czytają suche sprawozdanie, że oćwiczono kilkudziesięciu więźniów politycznych rózgami, że niektórzy z tego powodu przecięli sobie żyły, a inni wybrali jako formę protestu śmierć przez otrucie, pozostają obojętni. Dzieje się to bowiem za wysokimi murami kazamat... Daleko daleko... za łańcuchem gór Uralskich.

Zwracacie się do wszystkich, wy, którzyście przeszli przez piekło za życia. Z przedstawionych przez was świadectw ludzie już wiedzą, jak strasznie biją w Ałgaczach, jak uparcie strzelają w Zarantuju do cel, by ci, którym się kończy termin nie wyszli żywcem z katorgi, jak w Smoleńsku wypychają w trzaskające mrozy nagimi ludźmi nigdy nie opalane piwnice o wyłożonej betonem i z umysłu polanej na parę cali gnojówką podłodze, jak wynoszą z nich codzień po parę trupów i kilkunastu chorych, którym w szpitalu naczelnik więzienia Czernow każe stawać „smirno“ a nieprzytomnych z gorączki zrzuca z tapczanów na ziemię, by ich skopać za nieposłuszeństwo. Wiedzą, co się dzieje przy budowie drogi kołowej nad Amurem, gdzie zgłodniałe, obdarte cienie słaniają się, brzęcząc kajdanami, z taczkami w błotach, a upadających ze znużenia podnoszą bagnety, cucą strzały i kolby i cyniczne wyznania władzy: „nam nie pracy waszej, ale waszej krwi i życia potrzeba“.

Zamiar rządu i poufnych jego okólników jest jasny: kogo nie dało się powiesić, tego należy zamęczyć, by z swym buntem nie wyjrzał na świat.

Ludzie wiedzą o tem, czytają czarno na białem ale nie widzą tych zsiekanych ciał, zasypywanych solą i piaskiem ran, sinych trupów, jątrzących się wrzodami braci; nie czują śmiertelnego lęku i niesłyszą przeraźliwych krzyków wydanych na gwałt żołdactwa sióstr.

Wasz głos sięga tylko powierzchni mózgu, ale nie wzburza namiętności, nie porusza duszy ni serca.

I dopiero, gdy wołacie: „krew tych, co giną, na was!“ — niespokojny szept wyrzutu poczyna się szerzyć w każdem żywszem sumieniu.

Wszak to się wszystko dzieje w naszej obecności, w obecności dwudziestomilionowego narodu związanego krewnymi węzłami z tą wielotysięczną młodzieżą wplecioną w koło męczarni za to, że się porwała do walki o lepszą przyszłość. W obliczu cywilizowanego świata, który mieni się chrześciańskim, odbywa się okrutny, jawny mord, sankcyonowany ogólną obojętnością i milczeniem. Jakżeśmy odbiegli od tych czasów, gdy, by odebrać z rąk po-

gaństwa grób Chrystusa, zbiegali się ze wszech stron rycerze na świętą wojnę o mogiłę tego, który dał się ukrzyżować za ideę.

Dziś ośmieszylibyśmy się tylko, gdybyśmy proklamowali taką krzyżową wyprawę na wydarcie barbarzyństwu sponiewieranego i zelżonego człowieczeństwa. Ale mamy przecież liczne mównice, mamy trybunę europejską w parlamencie. Prezesem Koła jest uczciwy człowiek, który z wiarą w słuszność bronił Dobrodzicką, mamy tysiące sposobności dać wyraz uczuciom naszym, podnieść donośny głos protestu i oburzenia na cały świat.

Cóż, że nam odpowie minister, iż to są wewnętrzne sprawy państwa, w które on się mięszać nie może.

On — nie, ale my możemy i musimy — nietylko mówić, co nie jest bez znaczenia, ale coś zrobić.

Musimy zadokumentować w namacalny sposób istotny stan uczuć naszych dla tych porwanych z domów Polski na tortury: synów, mężów, braci, sióstr, krewnych i to wszyscy bez różnicy przekonań, sympatyi i antypatyi politycznych.

Wobec tego, co się odbywa, z każdego powinna wyjrzeć nie maska stronnictwa, ale szczere oblicze obdarzonego wrażliwością człowieka, albo kłamstwem jest solidarność narodowa, fałszem postępowy humanitaryzm, obłudą miłość bliźniego, martwą formułą cnota ewangeliczna: „więźniów cieszyć“...

Tam, w tych Akatujach, w tundrach i tajgach, dołącza się do cierpień głód, nędza, brak odzieży, brak książek i pism.

Znane są liczne fakty, gdy ludzie, zaaresztowani w lecie, w tem samem ubraniu szli w zimie w kraj Narymski, w osiedla Jakutów, bez bochenka chleba bez złamanego szeląga, a częstokroć skrawek dziennika z inseratami staje się całkowitą strawą duchową, jedyną wieścią z kraju dla wygnańca.

Nieraz drobna kwota stanowi i możności powrotu, stare ciepłe palto, łatana bielizna ocala życie, książka polska, pismo marka na list ratuje dusze...

Społeczeństwo rosyjskie, jak nam donoszą, jest pod tym względem bardziej pieczołowite, koledzy ich Polacy wprost wstydzą się przyznać, jak dalece przez swoich są zapomniani i niegodziwie opuszczeni.

Z powodu głosu „byłych katorżan“ powstała myśl założenia i zalegalizowania odpowiedniej instytucyi ratunkowej — załatwienie tej sprawy wymaga jednak czasu.

Ale tu czekać trudno!

Więc nasze wydawnictwo otwiera rubrykę składek i ofiar, które będą ogłaszane i za pokwitowaniem odsyłane ludziom i instytucyom mającym stały kontakt z zesłańcami i z uwięzionymi po turmach i katorgach.

Niech złoży każdy na jaki go stać materyalny dowód, że krwawy głos z tej otchłani męki, wyrafinowanego pastwienia się nie przebrzmiał bez echa.

Wzmożenie ofiarności w tym kierunku staje się wprost potrzebą serca, musem rozbudzonego sumienia.

SPRAWOZDANIA.

(MK) Bronisław Pawłowski: Austrya i Rosya w początkach panowania Mikołaja I. Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej“, Warszawa 1910, str. 28.

Szkic dra Pawłowskiego, młodego historyka ze Lwowa, jest fragmentem obszerniejszego studyum o stosunku Austryi do sprawy polskiej w dobie kongresowej, mającego się pojawić w wydawanym przez prof. Szymona Askenazego zbiorze „Monografie w zakresie dziejów nowożytnych“. Drobny ten fragment wprowadza czytelnika znakomicie w istotę stosunku dyplomacyi austryackiej do Rosyi w tych i w późniejszych jeszcze czasach. Dwie kwestye wpływały pod koniec panowania Aleksandra I. na wzajemne ukształtowanie się stosunków austryacko-rosyjskich.

„Główną rolę mianowicie odgrywała kwestya wschodnia, a uboczną — sprawa wspólnej walki z duchem rewolucyjnym. Pierwsza była czynnikiem dzielącym oba państwa, gdyż Rosya dążyła do rozbioru Turcyi, a Austrya przeciwnie pragnęła w myśl traktatu bukareskiego (1812) utrzymania w całości Porty otomańskiej. Sprawa druga była znowu czynnikiem, oba państwa łączącym“... W latach, objętych pracą dra Pawłowskiego, na pierwszy plan polityki austryackiej wybijała się pierwsza z pomienionych kwestyi, sprawa wschodnia; racya stanu państwowa górowała nad absolutystyczną racyą monarszą. Po daremnych wysiłkach dyplomacyi austryackiej, aby nowego imperatora, którym wbrew wszelkiemu przewidywaniu miast pożądanego i życzliwego Konstantego został kontynuator wschodniej polityki zmarłego brata, Mikołaj I., odwieść od czynnego wystąpienia przeciw Turcyi, stosunki wzajemne obu państw, mimo całą wspólność walki przeciw prądom radykalnym i świadczone sobie w tej mierze życzliwe usługi, weszły w stadyum utajonego naprężenia: Metternich gotował tajne contre-coup akcyi rosyjskiej na Bałkanach — wspólną interwencyę Anglii, Francyi, Prus i Austryi na rzecz Turcyi. W przewidywaniu starcia zaczyna się w Galicyi kurs schlebiający Polakom. Do starcia nie doszło. Istotnej przyczyny odroczenia wojennej rozprawy do dalszych czasów nie wskazują dokumenty, cytowane przez autora; odnajdzie on tę przyczynę w słabości dyplomatycznej i co główna wojskowej Austryi, w poczuciu niższości wobec Rosyi, co, jak słusznie autor zaznacza, ubezwładni Austryę w r. 1830-1, a także, dodać należy, w r. 1855, 1863, 1876, 1905. Odpadło wspólne zwalczanie prądów radykalnych, a przynajmniej odpadł wszelki w niem interes Wiednia; pozostała skłonność do odraczania rozprawy wojennej do dalszych czasów...

Wywody dra Pawłowskiego oparte są przeważnie na świeżym materyale rękopiśmiennym, zebranym w wiedeńskiem Archiwum Domu, Dworu i Stanu. Na uwagę zasługują epizody takie, jak kompromitacya ambasady austryackiej przez stosunki z dekabrystami, misya petersburska arcyksięcia Ferdynanda i warszawska margr. de Bombelles, galicyjskie represye w związku ze sprawą dekabrystów, przygotowania wojenne stron obu. Wszystko to stanowi jakby szereg przeróżnych precedensów dla spraw znacznie późniejszych, a niejedna z nasuwających się analogii dotyczy wręcz bieżącego momentu.

(MK) Emil Kipa: Fryderyk Gentz a Polska (1794 1831). Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom XV. Warszawa. 1910. Str. 167, XV przedmowy prof. Askenazego. — Cena 60 kop.

Gentz a Polska? Któż to był Gentz? Takie kompromitujące cokolwiek pytania zadać gotów autorowi nowej monografii przeciętny polski czytelnik, który ongi, gdzieś w gimnazyum przy literaturze niemieckiej może i zasłyszał cokolwiek o znakomitym chorążym literackim koalicyi i restauracyi, ale wpływu jego na sprawy polskie zgoła nie podejrzywał, a zresztą wszystko, cokolwiek mu było wiadomem w tym przedmiocie, zdążył zapomnieć śpiesznie a gruntownie. Stąd gotowy zarzut pod adresem niedocenionego uczonego-wydawcy i początkującego, ale tęgiego badacza: jakże nieinteresujący temat! Po co nam to wszystko? To zajmie kilkunastu specyalistów! Przestrzegamy przed takim wyrokiem pośpiesznym a niesłusznym. O Gentzu wiedziała i zajmowała się nim cała Europa pierwszej ćwierci minionego wieku; znany on był

dobrze i Polsce ówczesnej, czynny biorącej udział w stwarzaniu dziejów Europy.

Niepospolicie utalentowany i niepospolicie znieprawiony, dyplomatyczny rycerz fortuny, sprzedający swoje świetne pióro na lewo i na prawo, wyuzdany cynik naraz i natchniony apostoł świętych zasad ancien regime'u, dostojny obrońca tronu i ołtarza i zarazem tytularny kochanek młodej tancerki Fanny Elssler a pierwowzór Moltkego i Eulenburga, uchodzi Gentz u Niemców po dzień dzisiejszy za wielkość, ma swoje ulice i biusty, ma olbrzymią literaturę, kilku uczonych konkuruje ze sobą w publikacyi każdego świstka, który po nim został, lub osoby jego dotyczy; ponieważ zaś parokrotnie mieszał się do spraw polskich ze swoją złą wolą, przedajnem sumieniem i wpływowem piórem, przeto należał się mu od nauki polskiej pomnik w swoim rodzaju, nawskróś realistycznie traktowany, jakim jest cenna praca p. Kipy, uzupełniona mistrzowską charakterystyką jej bohatera przez prof. Askenazego.

Udział Gentza w sprawach polskich od insurekcyi aż po upadek rewolucyi listopadowej zbadany został wyczerpująco przez długotrwałe i rozległe studya zarówno literatury przedmiotu i źródeł drukowanych, jak nowego, nie ogłaszanego dotąd materyału źródłowego, znalezionego w Muzeum X. Czartoryskich w Krakowie i niektórych archiwach zagranicznych. Odsyłając do samej książki czytelnika, pragnącego poznać arcyciekawe perypetye tego stosunku Gentza do usiłowań polskich, zakonotujemy jeno dwa kulminacyjne momenty: oto Gentz, w niełasce u dworu wiedeńskiego, jako nazbyt skrajny propagator „wojny o niepodległość Europy“, straciwszy po Jenie jedyne oparcie, dwór berliński, straciwszy na skutek wojny komunikacye ze szczodrobliwą Anglią, ofiaruje swe usługi wielkiemu orędownikowi sprawy polskiej przy dworze petersburskim, Adamowi Czartoryskiemu, żebrząc o... 500—600 dukatów. Minęły lata. Minister Aleksandra stał się sternikiem rewolucyjnej dyplomacyi polskiej, Gentz zaś był znowu wpływowym radcą ministeryalnym we Wiedniu. Przyszła kolej na ks. Adama szukać za sumy olbrzymie poparcia u Gentza, „trafiać“ za pośrednictwem ks. Konstantego Czartoryskiego i Fanny Elssler do jej starego hofrata, który zresztą na wieść upadku Warszawy stwierdzi z zadowoleniem, że sprawa polska nie będzie już zgoła niepokoiła gabinetów.

W czasie, gdy karlała polityka polska, urósł Fryderyk Gentz...

Interesująca i pouczająca dla nas, monografia p. Kipy ma także szersze znaczenie. Zastanowią się Bailleu czy Fournier nad wyszukanie nikczemnemi listami Gentza do ks. Czartoryskiego, zamieszczonemi w przypiskach; prof. Pingaud znajdzie tam cenne, rewelacyą będące dlań poniekąd dokumenty dotyczące wielkiego agenta rojalistycznego, hr. d'Antraigues. Tutaj, w przypiskach przebija się najsilniej rozległość i sumienność badań. Mniej nacisku położono na konstrukcyę samej rozprawy; styl miejscami nieco zaniedbany.

SILVA RERUM.

(Ad. Pł.) PRO DOMO SUA. Nie lubię polemiki, jeśli w niej nie o kwestyę, lecz o słowa tylko chodzi; dlatego nie czułbym się obowiązany odpowiadać na artykuł p. Irzykowskiego („Widnokręgi“ nr. 2. r. II.) w którym nazywa mię Indyaninem i porównywa do złego i swawolnego chłopca, gdyby artykuł ten nie zarzucał mi publicystycznej nieuczciwości, a bystrze oryentująca się redakcya „Widnokręgów“ nie skwalifikowała mojej notatki jako napaści, którą jakoby samo „Życie“ uznało za niewłaściwą. Twierdzę, że miałem prawo zastosować do p. Irzykowskiego słowa, które on do Paderewskiego zwracał, gdyż artykuł jego o „dostojnym bziku tragiczności“ mówiąc o ideologii P. P. S. twierdzenia swoje opierał na „Liście“ p. Strengera, lub wrażeniach z literatury pięknej. Cała moja notatka mówiła o tem, że takich kryteryów do „ideologii“ stronnictwa stosować nie można i wykazywała rozbieżność wyników p. I. z faktycznym stanem rzeczy. P. I. rozumie, że tej sprawy nie można załatwić polemiką gramatyczną i wyjaśnia obecnie, że przez ideologię rozumie, „podkład skojarzeń uczuciowo-intellektualny, który sprawia, że pewne hasła znachodzą oddźwięk“, — otóż twierdzę, że p. I. tak sprawy nie stawiał w omawianym artykule, gdyż nie tylko zwracał tam swoje zarzuty przeciw ideologii partyi politycznej, której wyrazem i treścią są zawsze „teorye sztabowców“, lecz nawet pouczał (mówiąc o „doli robotnika“) jakie rzeczywiste zadania ma przed sobą ideologia tej partyi: za późno jest więc teraz wycofywać się z forum politycznego, gdy się raz na nie, bezwiednie może, wkroczyło, i gubić się w rubieżach „ogólnych prądów umysłowości polskiej“, gdzie ponoś można p. Strengera uważać za reprezentanta (czy okaz zoologiczny) ideologii P. P. S. I rzeczywiście trudno między p. I. a mną o „zgodę co do faktycznego materyału“ skoro p. I. opierając się na „Liście“ p. Strengera będzie nadal wbrew faktom uważał wszelkie uzasadnianie patryotyzmu za „kontrabandę“ nie licującą z myślowem i założeniami (sic!) „Frakcyi i Zycia“.

Na jedno chętniebym się zgodził z p. I., na to mianowicie, że należy być cierpliwym i czekać na polemikę polityczną. Zbyt jednak trudne to zadanie, gdy publicystyka dzisiejsza wcale się nie spieszy, a woli uprawiać walkę podjazdową.

Z TEATRU. (m) Wielki rozmach, z jakim zaczęto bieżący sezon teatralny, ustał prędzej, niż można było przewidywać. Panowanie objęła po dawnemu operetka. Gdyby nie wznowienia Fredrowskie, stojące na wysokości przedstawień amatorskich, możnaby nie wiedzieć, że mamy we Lwowie teatr dramatyczny. Położenie na głowę Ryszarda III-go ujawniło znaną od dawna zdolność dyrekcyi do lekceważenia wielkiego repertoaru. Może więc chciano się zrehabilitować w ostatnim tygodniu, gdy po długim zastoju dano Podczłowieka Jaroszyńskiego, który — nawiasem mówiąc — obiegł już dosyć dawno większe sceny polskie.

Treść Podczłowieka jest następująca. Mamusia mieszczańska, sobowtór pani Dulskiej, miała dwóch synów. Młodszy, człowiek porządny, nie miał co robić w kraju, dusił się w atmosferze kłamstwa, więc wyjechał do Paryża. Otoczenie decyzyę jego przyjmuje z zadowoleniem, bo podejrzywa, że utrzymywał stosunki z „rewolucyą“. Starszy synalek mamusin nadaje się w sam raz do atmosfery krajowej. Samolub, tchórz, karyerowicz, obłudnik, żeni się z piękną dziewczyną, dzięki czemu zdobywa posadę dyrektora banku i łaski pana hrabiego, znanego erotomana.

Żona wzdryga się przed rolą, jaką każą jej odgrywać własny mąż i własna teściowa. Uczciwa i wierna dotychczas mężowi, przez odruch godności kobiecej rzuca się w objęcia kochanego w czasach przedmałżeńskich studenta. To przeszkadza planom teściowej, która dobrze się czuje w willi, ofiarowanej „bezinteresownie“ przez hrabiego, chce więc zmusić synowę, aby sympatye zwróciła w należytym kierunku... Wyjawia tedy synowi schadzki żony ze studentem i pobudza go do zemsty. Tak się też dzieje.

Student przekrada się w ciemności do alkowy ukochanej, a waleczny małżonek woła: złodziej, choć wie, że jest inaczej, i w obronie swojego „honoru“ strzałami z zasadzki zabija nieszczęśliwego. Żona porzuca męża, przyznaje się w sądzie do roli kochanki, oczyszcza pamięć zmarłego i własną zdeptaną godność kobiecą, małżonek zaś myśli, aby siebie ocalić. Przebolawszy stratę żony, błaga ojca zamordowanego o niewytaczanie procesu cywilnego, co mu się udaje. Ocalił »honor« i pieniądze. Podczłowieczeństwu temu dziwią się przyjaciele, hrabia i adwokat, chociaż obaj byli spółuczestnikami upodlenia.

Rzecz Jaroszyńskiego nie posiada zalet nadzwyczajnych, ale miała wszelkie prawo wstępu na scenę, jak mają je sztuki francuskie na znany temat trójkąta małżeńskiego. Fabuła sztuki mogła być jednak wyzyskana z większem powodzeniem, niż to uczynił Jaroszyński, który, zamiast poprzestać na satyrze obyczajowej, chciał wywindować sztukę na wyżyny, z jakiemi jej nie do twarzy. Odnosi się to nawet do samego tytułu, który jest sztuczny, niesmaczny językowo, nieuzasadniony ideowo, bo niestety ogromna ilość „ludzi“ robi to samo, co u Jaroszyńskiego zrobił „podczłowiek“. Trudno także zrozumieć, dlaczego wady podczłowieka przypisano specyalnie światu mieszczańskiemu. Czy z dworów szlacheckich wywodzą się tylko Wyrwicze i Bogorjowie? Czy typy „podludzi“ są tam niemożliwe? Czy niema ich tam całych legionów? Umiejscowienie sztuki jest tedy i niepotrzebne i niesprawiedliwe. Kto wie nawet, czy nie z dworów wiejskich przyszło do miasta to trzymanie się klamki pańskiej i to zabieganie o protekcyę kosztem ludzkiej godności. Jedno tylko może autora usprawiedliwić, że — mówiąc o mieszczaństwie — miał na myśli nasze domowe kołtuństwo, bez względu na to, czy z łokciem ono i wagą, czy z herbem na sygnecie. Nie wolno bowiem kalać mieszczaństwa, gdy „apostołowie narodowi“ każą mu nawiązywać do tradycyi mociumpanów z pierwszej połowy ośmnastego wieku, a jeżeli na nieszczęście ten i ów mieszczanin okaże się uczniem pojętnym, pluje się w twarz całemu mieszczaństwu. Trzeba to sobie powiedzieć jasno i bez ogródek. Te właśnie uogólnienia autora popsuły doskonałą zresztą satyrę i dlatego też mogłyby być opuszczone z największym dla sztuki pożytkiem. Akcya dość żywa ożywiłaby się jeszcze bardziej, a akt czwarty odpadłby, jako zupełnie niepotrzebny.

Wystawienie sztuki było dość staranne. P. Nowacki cokolwiek przesadzał, ale miał doskonałe momenty. P. Gostyńska grała koncertowo, p. Trapszowa bardzo starannie. Z innych artystów wymienić trzeba panów: Rasińskiego, Dobrzańskiego i Hierowskiego. P. Antoniewski był tylko znośny, p. Wysocki mocno niedopisywał.

TOWARZYSTWO HISTORYCZNE WE LWOWIE. Dnia 11 b. m. odbyło się doroczne walne Zgromadzenie jednej z najpoważniejszych instytucyi naukowych polskich, Towarzystwa, którego organem jest wychodzący już rok 25 we Lwowie „Kwartalnik historyczny“. Smutno wyznać — sprawozdanie, rozdane członkom, wykazuje, że liczba członków Towarzystwa nie podnosi się zgoła; wynosi ona obecnie 259 członków czynnych i trzech honorowych. Członkowie Towarzystwa, wnoszący wkładkę miesięczną w kwocie 1 kor., otrzymują bezpłatnie cztery duże tomy „Kwartalnika“. Poza nimi ma on 189 przedpłacicieli. Ogółem 448 egzemplarzy płatnych! Deficyt roczny ogromny pokrywa się jedynie dzięki subwencyom. A jednocześnie — na co czcigodny prezes, prof. Wojciechowski zwrócił na zgromadzeniu uwagę — liczba członków pruskiego towarzystwa historycznego, specyalnie zajmującego się dziejami parcia niemczyzny ku wschodowi, idzie w dziesiątki tysięcy...

Bezmyślna obojętność t. zw. „ogółu inteligentnego“ nie łatwo u nas daje się przełamać. Sądzimy przecież, że do zdziałania w tej mierze jest wiele. Trzeba jednak, aby Towarzystwo częściej przypominało się ogółowi, miesięcznym zebraniom odczytowym nadało charakter publiczny, specyalnie zaś, aby postarało się o zjednanie „Kwartalnikowi“ intenzywnego poparcia prasy polskiej. Może przecież zbudzi się w szerszych kołach interes dla badań nad naszą przeszłością i poczucie, że poparc e tych badań jest powinnością obywatelską.

PRETENSYE MIĘDZYNARODOWE „SŁOWA POLSKIEGO“. W numerze wtorkowym „Słowa Polskiego“ znajdujemy bałamutny artykuł o „planie strategicznym rosyjskim“, traktujący znaną dobrze naszym czytelnikom z fachowej rozprawki J. W-iego sprawę zmian w dyslokacyi armii rosyjskiej i przesunięcia ku wschodowi rosyjkiego place d'armes; nb. pismo nasze pierwsze z pism polskich przyniosło w tym względzie informacye rzeczowe i ścisłe. „Słowo“ zamyka swój artykuł następującym wylewem żalu:

„Dla nas plan Suchomlinowa, ujawniony przez Szarapowa, jest potwierdzeniem pogłoski, że Rosya, zagrabiwszy przemocą i przykuwszy do swego cielska ziemie polskie, nie poczuwa się wcale do obowiązku ich obrony wobec nieprzyjaciela zewnętrznego, że jest zdecydowana na to, aby, pozbawiwszy naród polski przez pobranie żołnierza możności samodzielnej obrony, na wypadek wojny wycofać swoje wojska z kraju i oddać go na pastwę nieprzyjaciela. Zamiar pozostawienia kilku słabo obronnych fortec po wycofaniu wojsk z Królestwa, jest jeszcze potworniejszy od przypisywanego Rosyi przed tem planu zupełnego zaniechania obrony. Te fortece muszą przyciągnąć armię niemiecką, zmuszą ją do rozłożenia się w pozbawionem obrony Królestwie i do wyniszczenia kraju przymusowemi dostawami, nieuniknioną, w razie dłuższego pobytu armii nieprzyjacielskiej, systematyczną grabieżą i stosowaniem drakonicznych przepisów prawa wojennego.

„Dobrze zdawać sobie sprawę z tego, jak wobec narodu polskiego i ziemi polskiej pojmuje swoje zadanie rząd „bratniego narodu“, lubujący się w pozie powołanego obrońcy Słowiańszczyzny i opierający na tej pozie swoje rachuby polityczne.

„Nie zawadzi też uświadomić sobie, z jaką głęboką obojętnością spogląda na takie potworne zamysły, rozbrzmiewająca hasłami kulturalnemi i humanitarnemi Europa. Świadomość taka potrzebna jest ludom, którym dobroduszność, skłonność do sentymentalizmu i do oglądania się na obcą pomoc lub wspaniałomyślność nie pozwalają na zrozumienie tej oczywistej prawdy, że tylko w rozwoju sił własnych i własnej pomysłowości jest przyszłość“.

Der langen Rede kurzer Sinn... że wyjście wojsk rosyjskich w razie wojny z Królestwa jest szczytem nieszczęścia dla nas; że pożądamy namiętnie opieki rosyjskiej, aby nie stać się „pastwą nieprzyjaciela“, dzisiaj bowiem nie jesteśmy nią zgoła; że reklamujemy nasze prawo do rosyjskiej obrony i z boleścią przekonujemy się, że nie możemy w tym względzie liczyć na „wspaniałomyślność“ Rosyi...

Gdyby nie ten gorzki wyrzut końcowy sądziłbyś, nieświadomy czytelniku, że to księdza Stojałowskiego, byłego współpracownika w „Warszawskom Dniewnikie“ a dzisiejszego delegata z ramienia wszechpolaków — „Wieniec i Pszczółka“. Zaiste bowiem wielebny apostoł pojednania się z Rosyą jest godnym, acz nieco krańcowym wyobrazicielem... wszechpolskiej dyplomacyi.

Przecież jeden z tych dyplomatów, p. Dobrycz, niedawno oczyma wyobraźni oglądał szlachetnych Polaków. służących w armii rosyjskiej, jak niweczą niecne intrygi pruskie i przyczyniają się do mężnej obrony Warszawy przez szczególniej powołanych ku temu bohaterów! *Messieurs, pas de reveries.*

POWRÓT ROSYI DO AZYI. Po sromotnej kapitulacyi przed Austryą w sprawie bałkańskiej, przed Japonią w sprawie mandżurskiej, przed Niemcami w sprawie perskiej, po znanym swoim „powrocie do Europy“ rozpoczętym przez „cofnięcie się na tylne pozycye“ i zmianę planów wojennych w kierunku defensywy, prestige mocarstwowy Rosyi domagał się natarczywie jakichś zwycięstw, jakichś podbojów. Fikcyjne zdobycze w Finlandyi i Chełmszczyźnie nie mogły wystarczyć. Ekspanzyę w jakimkolwiekbądź innym kierunku tam wała żelazna obręcz bagnetów japońskich, tureckich, rumuńskich, austryackich i niemieckich. Jedna pozostawała luka dla rosyjskiego animuszu — Azya Centralna i wciąż jeszcze słabe, rozterką wewnęrzną trawione, z niesłychanym mozołem pracujące nad swą odnową i nad stworzeniem potęgi cesarstwo chińskie.

Skorzystano z ostatniego może momentu bezsilności państwa bogdychanów, skorzystano z chwilowego załagodzenia sporu z Japonią, Austryą, Niemcami. Europa staje wobec nowej kwestyi ujawnionej naraz w całej grozie, kwestyi mongolskiej; ma nowy konflikt, wojną brzemienny — konflikt rosyjsko-chiński.

Od wielu już lat przygotowywano systematycznie zabór Mongolii. Narzucano Chinom, pogrążonym w bezwładzie, coraz nowe rzekome konsulaty rosyjskie, w istocie prokonsulaty, rozporządzające własną siłą zbrojną, po-

sterunki najazdu w niezawojowanym kraju; jątrzono plemiona mongolskie przeciw Chinom, knowano spiski przeciw bogdychanowi. Tak było od lat ośmdziesiątych ubiegłego wieku. Lecz przyszedł pogrom wschodni; Chiny nabrały odwagi; weszły na drogę reform. Przeobrażać zaczęły administracyę w kierunku centralizmu, armię podług wzorów europejskich i przy udziale instruktorów niemieckich; Mongolię zaczęły kolonizować co prędzej; urzędy obsadziły Chińczykami. Zdobycz upatrzona zdawała się wymykać z rąk rosyjskich. I oto przyszedł termin wygaśnięcia traktatu trzydziestoletniego, zapewniającego Rosyi prokonsularną gospodarkę wśród chińskich Mongołów. Rosya wystąpiła z nowemi żądaniami, idącemi dalej jeszcze, niż uprzednie jej przywileje. Rząd chiński odmówił, usiłując uchylić się od zabójczych i upokarzających traktatów. Stąd wynikło ultimatum rosyjskie w 6 punktach z brutalnie wystylizowanem domaganiem się uznania olbrzymich, a jednostronnych przywilejów handlowych i politycznych Rosyi i Rosyan w Chinach w ogólności, szczególniej zaś w Mongolii i grożące w przeciwnym razie wojenną represyą. Chiny, dziś jeszcze do wojny niezdolne, odpowiedziały zgodą na utrzymanie dotychczasowych zobowiązań traktatowych, zastrzegły się przeciw nowym. Odpowiedź Chin uznano w Petersburgu za niewystarczającą. Niezwłocznie gruchnęła wieść o wkroczeniu Rosyan do Dżungaryi. — W razie oporu Chin Rosya grozi ponownem zajęciem Kuldży, krainy w górach Tian-Szanu, raz już, od roku 1871—1881, okupowanej przez wojska rosyjskie i zwróconej następnie Chinom ku oburzeniu rosyjkich patryotów. Dzisiaj ta „ziemia rdzennie rosyjska" powrócić ma na łono wielkiej ojczyzny. Chińczycy będą zapewne zmuszeni tałć rozpacz i żądzę zemsty — do czasu. Pobratymcza Japonia dała im do zrozumienia, że na nią nie mogą liczyć, że ustąpić trzeba. Ależ i Japończycy ustępowali pod obuchem konieczności, oddając Rosyi Port Artura, by po latach dziesięciu zemścić się Laojanem i Cuszymą.

Jedno jest teraz pewne i jasne... że Rosya ze swemi rękami wyniosła się z Europy.

Z DZIAŁALNOŚCI UNARODOWIONYCH CHŁOPÓW PARLAMENTARZYSTÓW. Krakowska „Gazeta poniedziałkowa" podjęła w ostatnim numerze publikacyę dokumentów do historyi kultury politycznej w Galicyi, zebranych w niemałym trudzie i kosztem pewno niemałym przez prezesa stronnictwa ludowego w powiecie tarnobrzeskim, p. M. Kanarka, który, chociaż zapewne nie wykwalifikowany jako edytor źródeł dziejowych, przecież pokazał nam rzeczy, o których się nie śniło... p. Breiterowi i jego „Monitorom". Podnieść należy, że zachował przy tem wskazaną ze wszechmiar rezerwę: dokumenty, których autentyczność żadnej wątpliwości nie zdaje się podlegać, mówią za siebie same.

Oto listy posła do parlamentu, członka grupy demokratyczno-narodowej, Antoniego Paducha, wydrukowane w „Gazecie poniedziałkowej":

we Lwowie d. 3/II. 1910.

Wielmożny Pan

Mejer Safir, et., Goliger, a konto Wekslu ot 1200 k: otrzymałem przez Pańskiego ojca, 900 k: zapłace wyrobienie koncesyi; gospodnio szynkarki zaś w Poniedziałek ma Pański ojciec mi doreczyć, 300 k, aby boło uzupełnie Wekslowa suma ot 1200, z szacunkiem i Antoni Paduch.

List z 23 listopada 1910 do p. Feldmana w Podwołoczyskach, w którym poseł Paduch pisze: „dostałem tylko 300 koron, a 1700 spodziewam się dostać za wyrobienie koncesyi. Jeżeli mi nie poślesz Pan zaraz, to koncesyi nie dostaniesz".

Dalej list posła Paducha do jego sekretarza: „jeżeli kto chce konsens (dosłownie), to zbadaj jego czy zechce złożyć pieniądze, gdy chce, to telegrafuj po mnie, przybywam natychmiast"...

„Zbadaj Pana Goligera, co on myśli, czy on dopłaci ten weksel albo nie? donieś mi, czy są osoby, któreby złożyły pieniądze za naszą pracę za koncesyę, ręczyć możesz Pan każdemu, że dostanie a nie, to że i we Wiedniu pracować się będzie za te same pieniądze, a dostać muszą, tylko dobrze, tylko mądrze rób, powiedz, że wszystko walczy przeciw żydom, tylko ja trzymam za nimi, że mnie po nogach mają całować".

Odnośnie do Dyma (szynkarza w Krośnie) pisze Paduch do swego sekretarza:

„Pisz mu, a nie opłacaj listu że już ostatnia godzina wybiła, że jak nie pośle pieniędzy, to źle. Zbieraj tylko dużo, dużo ludzi, ale takich, co mają pieniądze, niech składają, **kręć na dobrze**".

A potem, kiedy sprawa zaczęła być głośna, pisze p. Paduch:

„Żydzi zdradzili sprawę".

„Niech będzie pochwalony Pan nasz Jezus Chrystus! Ni mogę tego znieść coś narobił ty z temi wekslami i listami. Ten list, co poseł Fiedler pisał do Goligera, to wczoraj na Kole był oczytany, przez Stapińskiego, dali te weksle co ja podpisał to Stapiński miał ich 7 i na Kole pokazywał, po mordzie chciałem go nawalić ale uciekł. Żyd cygan weksel dał Stapińskiemu gwałt! Mojsiu Kanarek został przezemnie z parlamentu wyrzucony".

A teraz korona wszystkiego List posła Fiedlera, kolegi klubowego Paducha, do Goligera i Mayera Winera w Szlachcińcach z daty Lwów 9 listopada 1910:

„Na interwencyę Paducha przyjechałem do Lwowa w sprawie waszej o konsesye szynkarskie. Staraniem mojem i kolegi Paducha będzie sprawę traktować pomyślnie. Każda sprawa potrzebuje wydatków — tak i tutaj koszta są i będą, obiecana kwota być musi 5000 koron, a jak nie przyjdzie do skutku, to się zwróci. Czekam do wieczora. 10—11 na koszt.

Bartłomiej Fiedler".

Co do weksli — jak pisze „Gazeta poniedziałkowa" — to opiewa jeden na 1200 koron, wystawiony przez posła Antoniego Paducha, a żyrowany przez Palika Goligera i Piotra Czyża.

Drugi weksel, wystawiony przez Marjem Lieblich na kor. 200, trzeci przez F. Goligera na k. 2000, czwarty przez Hilela Ehrmana na kor. 200.

Tak wygląda pono dusza „unarodowionego" chłopskiego polityka, obnażona z taniej teatralności i pseudoliterackiej blagi. Z tężyzny chłopskiej nic tu nie zostało, jeno chętka do „walenia po mordzie". Z sukmany „chłopa od parady" wylazła pijawka wiejska, kusząca się na to, aby „przechytrzyć" żyda. Narodowi demokraci przygarnęli Stojałowskiego i jego chłopów z „dobrodziejstwem inwentarza": z całą zgnilizną moralną, którą ta grupa się odznacza. Stronnictwo mające w swem gronie niezaprzeczenie szereg ludzi wybitnych i moralnie czystych, ściska brudne ręce Stojałowskiego, o którego lampie p. Wojciech Dąbrowski tyle miał ongi do opowiadania przed sądem, a któremu p. Ernest Adam rzucał te wyrazy głębokiej pogardy: „Nie chcę polemizować w sprawach politycznych z człowiekiem, któremu... udowodniono czyny nieuczciwe i hańbiące każdego Polaka". Tolerowali wszechpolacy Stohandla, wciąż mającego „wielkie ambarasy" ze skargami o oszustwo. Czy posuną się do tolerowania — Paduchów i Fiedlerów? Czy wróciły czasy, kiedy członek polskiej reprezentacyi we Wiedniu, poseł Wilk, szedł do kozy za handel kradzionym papierem parlamentarnym?

„Słowo Polskie" dzwoni na larum, krzycząc, że Koło polskie powinno się naradzić nad obroną swych członków.. czy może przed koleżeństwem z handlarzami koncesyi szynkarskich? Uchowaj Boże! Idzie o obronę — przed napaściami posła Stapińskiego. Zarazem twierdzi, że chce, aby cała prawda była wyświetlona, insynuując, że dochodzićby jej należało w różnych kierunkach... Na to całkiem się godzimy i dodamy jeszcze, że czynniki kompetentne obowiązane są zbadać, jak to się działo, że o nadaniu przez ck. namiestnictwo koncesyi szynkarskiej decydować miały tysiące koron, płacone wszechpolskim „parlamentarzystom"?

Dużo się mówi u nas o „stanie posiadania narodowego". Stronnictwo, które z obrony tego „stanu posiadania" robi sobie monopol, raz przecież powinno pojąć, że wyłom w posiadaniu narodowem czyni trąd politycznej i prywatnej podłości.

Szan. przedpłacicielom, którzy dotąd zalegają z prenumeratą za kwartał bieżący, przypominamy, że termin odnowienia jej minął, ustalenie zaś liczby stałych odbiorców konieczne jest dla uregulowania nakładu.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Adres Administracyi: Dąbrowskiego 2, (parter na prawo).

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.